POLSKA INWALIDOM

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

ROK II. WARSZAWA, CZERWIEC 1927. № 5.

W sprawie budowy domów pracy dla inwalidów

Na mogiłach żołnierskich, rozsianych jak Europa długa i szeroka, krzewi się i już burzy, już kipi nowych sił warem jakoby nowe życie. Coraz mniej łez płynie ze temi, którzy niegdyś zdrowi, piękni i młodzi poszli w bój szalony w imię najświętszych haseł swojego narodu. Umilkł huk armat i klekot kulomiotów, przestały się czerwienić żywą krwią bagnety, — a ciche, samotne, opuszczone groby czernią się tam, gdzie bohaterów dosięgła śmierć z ręki przeciwnika, idącego w bój za te same pono ideały. Społeczeństwa pamiętają jeszcze o swych zmarłych, przekazują tę troskę rządom, budują pomniki bohaterom.

Są jednak wciąż i trwają, i nie ulegają wpływom kojącym czasu rany społeczne tego rodzaju, że się o nich najchętniej milczy. Rany te krwawią coraz bardziej, albowiem leczenie, które się wobec nich stosuje, nie jest leczeniem prawidłowem i szczerem, jest nawet często raczej rozdrażnianiem. Tą niewyleczoną, żywą raną są żywi, są inwalidzi wojenni. Mniej szczęśliwi od swych kolegów, którym śmierć dobroczynna zamknęła oczy na zawsze, pozostali oni, jako wielotysięczny tłum kalek, chorych i nerwowych pogrobowców wojny, i wiodą życie-wegetację, życie, którego jedyną rozmaitością jest rozmaitość cierpień. Są zdani na łaskę i niełaskę losu, gdyż nie mają możności i sił do brania równego udziału w codziennej walce o byt, i nierzadko zmuszeni są wyciągać rękę żebraczą na ulicy.

To wyciąganie ręki boli i upadla. Tak. Ale ta wyciągnięta ręka to także codzienny wyrzut społeczeństwu, że tak wielka sprawa nie została dotąd załatwiona. Łatwiej bowiem uronić łezkę, niż zdobyć się na męską pomoc nieszczęśliwemu!

Łezki sprawie inwalidzkiej nie pomogą. Nie załatwią jej również połowiczne środki, stosowane dotąd przez rząd i społeczeństwo. Albowiem nietylko nie można, ale wprost nie wolno żądać od człowieka chorego, którego potrzeby są większe, niż zdrowych ludzi, aby utrzymał się z minimalnej renty, rzuconej mu ręką doprawdy nieszczodrą, — renty, która ma być przecież sprawiedliwem odszkodowaniem za krwawy wysiłek w obronie wolności i niepodległości. Nie wolno traktować rycerza wolności jako żebraka, — nie wolno pozwalać mu na stałą żebraninę z tytułu jego inwalidztwa! Nie wolno — już nietylko dla zasadniczych po[illegible] zasad moralnych i etycznych i patrjotycz[illegible]że dla wielu innych, także praktycznych! [illegible]bowiem pozwólmy sobie na kilka brutalnych [illegible]tań, które, wobec takiego, a nie innego, stanu rzeczy, są nietylko szczere, ale i potrzebne:

— Czy obecna dola inwalidów wojennych jest tak zachęcająca do ofiarowania swej krwi w imię ideałów, które nie realizują się dla tych, którzy o nie walczyli?

— Czy spodziewacie się wielkiego napływu ochotników w następnej wojnie, która zbliża się wielkiemi krokami?

— Czy przypuszczacie, że wynalazki coraz straszniejszych, skuteczniejszych gazów, coraz większych armat, lepszych aeroplanów i t. d., wreszcie zwiększająca się na całym świecie ilość afer szpiegowskich ma za zadanie zachowanie wiecznego pokoju?

Napewno nie!

Daleko jeszcze do ery wiecznego pokoju, a zapewne nie za wiek czeka nas wielka i okrutna wojna! Ktokolwiek sobie to należycie uświadomi, ten już z łatwością zrozumie, że największą i najlepszą propagandą obrony Ojczyzny jest zabezpieczenie losu inwalidom wojennym. Zabezpieczeniem zaś prawdziwem, jedynie godnem wielkiego narodu jest umożliwienie inwalidom wzięcia równego udziału w codziennej walce o byt. A więc przedewszystkiem zmyć z nich piętno żebractwa, co i społeczeństwu przyniesie znaczny zysk materjalny w myśl zdrowej zasady Henryka Forda: „Dobroczyn

ność staje się niepotrzebna, skoro ludzi niezdolnych pozornie do zarobkowania na życie, przenosi się z warstwy nieproduktywnej do produktywnej". I tu, siłą rzeczy, narzuca się łatwe rozwiązanie sprawy: zbudowanie warsztatów, w których inwalidzi wojenni mogliby się zająć wytwórczością odpowiednio dostosowaną do ich fizycznych warunków, i stać się produkcyjną cząstką społeczeństwa. Na zbudowanie tych warsztatów, dalej na budowę domów pracy i schronisk i lecznic — potrzebne są pieniądze.

Kto je ma dać? Kto je dać powinien?

Wbrew utartym poglądom, wbrew ogólnemu niemal zdaniu, uważamy tu za obowiązek powiedzieć, że nietylko rząd powinien dawać. Rząd jest wprawdzie władnym gospodarzem tej ziemi, głównym zarządcą państwa, lecz nie jest i być nie może jedynym wyrazicielem Woli i Serca Społeczeństwa. A tak, i serca. Bo pomijając już wszystkie inne argumenta, nawet tak ważne i, powiem, ciężkie jak najcięższe armaty, o których zresztą już mówiliśmy, a które mówią o przyszłości — uważamy za także bardzo ważny—apel do Serca społeczeństwa, do tego zbiorowego serca, które radowało się i raduje niepodległością Ojczyzny, które biło wspaniałym rytmem w dni naszych krwawych zwycięstw i naszej krwawej chwały, i które drgnąć musi żywiej na myśl o naszych inwalidach. Powiemy więcej: wspaniała inicjatywa budowy domów inwalidzkich wyjść winna właśnie ze strony społeczeństwa. Należy zaniechać zabawy w rozmaite festyny, wieczorki, bale, loterje i loteryjki, dające zazwyczaj śmieszne rezultaty, należy nareszcie zdobyć się na czyn męski, na czyn wagą swą i godnością odpowiadający wadze i godności tych, którzy zginęli, i tych, którzy żyją bez rąk czy nóg, wzroku czy ramion, żyją zbyt często i licznie w nędzy, opuszczeniu, poniżeniu. Przy grobie Nieznanego Żołnierza Polski czuwa zawsze warta i płonie niegasnące światło. Niechże nad dolą inwalidów zapali się nareszcie niegasnące nigdy światło Waszego Serca, światło szczerego współczucia i świętego Miłosierdzia!

Redakcja „Polska Inwalidom" ma zamiar w najbliższej przyszłości wystąpić ze swoim planem budowy domów inwalidzkich, i apeluje do wszystkich ludzi dobrej woli, aby do tego planu myśli swe dorzucili. Odnośne listy i artykuły należy przesyłać wprost pod adresem Redakcji.

Żet.



JESIENIĄ...

Z więdnących liści szumem,
Z szmerem zastygłych rzek,
Głos jakiś ku mnie płynie,
Na tamten woła brzeg.
Hej! Wzywa moje serce,
Na innych łąk kobierce,
Gdzie jest na smutki lek...

* * *

Jesieni mgły posępne
Zwisają chmurą siną,
Śnią mi się oczy twoje
I uśmiech twój — dziewczyno...

* * *

Spoglądam w ową stronę
Dokąd mnie woła głos —
Czy to się w mgłach odzywa
Mój przebolesny los?
...Ach! czemuż tak bezwzględnie
Kochania kwiat mi więdnie
W brylantach jasnych ros...

A życie woła znowu:
Nim wzrok zaślepią łzy,
Ostatnie zbieraj miody,
Ostatnie wzniecaj skry!
I nie trać z własnej winy
Ostatniej już godziny
Upojeń szczęsnych gry!..

* * *

Jesieni mgły posępne
Zwisają chmurą siną,
Śnią mi się usta twoje
I uśmiech twój, dziewczyno...

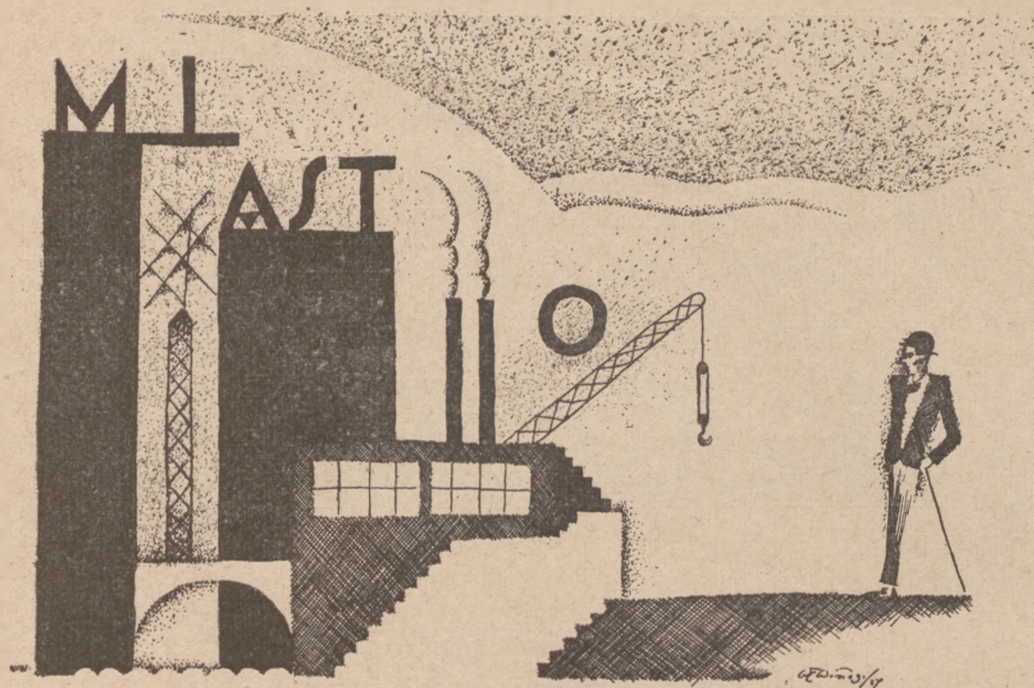
* * *

I odpowiada echo
Mej duszy smętny sen:
Nie nęci mnie już rozkosz,
Czerpana z czary den,
Tęsknicą mimowiedną
Kochałem tylko jedną,
Przez świat wędrując ten...

* * *

Jesieni mgły posępne
Zwisają chmurą siną —
Śnią mi się usta twoje
I oczy twe, dziewczyno...

Tadeusz Kończyc.



CZĘŚĆ DRUGA:

TO, CO PRZEMIJA.

I oto znowu stałem się zwykłym „miejskim“ człowiekiem. Chodzę ubrany bez zarzutu, mieszkam w centrum miasta, punktualnie zjawiam się codziennie w biurze, i codziennie kupuję gazety, i codziennie jadam obiady. Pozatem... piszę, i kocham się. Piszę zamówioną przez redaktora Stefanowicza powieść, a kocham się (nie bez widoków „powodzenia“) w wspaniałej pani Irenie Łabędzkiej, tej samej, która mi dała dwa złote srebrem za odniesienie walizki, i która, rychło potem, za pośrednictwem pani Zofji Zawiejskiej dała mi do zrozumienia, że się mną interesuje. Oto są, niestety, sprawy główne tej epoki mego żywota. Sprawy główne. Bo cóż pozatem? Biuro? Doprawdy, jest mi zupełnie obojętne. Spełniam swe czynności spokojnie, bez pośpiechu, bez zdenerwowania. Można nawet powiedzieć, że na te kilka godzin dziennie staję się nie sobą, i że to jest jedyny sposób oszukania siebie i innych. W biurze dziwią się, że „mimo wszystko“ (oj, ta literatura!) jestem dobrym urzędnikiem, a ja dziwię się, że mi to urzędowanie dość łatwo przychodzi.

Powróciłem też do sił i zdrowia. Jestem normalnym. Przekroczyłem znowu jakąś niewidoczną granicę, i znowu widzę inaczej. Ale mi z tem nie jest dobrze. Uciszył się we mnie bunt człowieka głodnego, który widział, odczuwał, i, co najważniejsze, umiał rozpoznawać prawdziwą krzywdę, i czegoś mi brakuje. To, oczywiście, wiem dzisiaj, wtedy sobie z tego jasno nie zdawałem sprawy. Wtedy jasno wiedziałem, co następuje: należy wykończyć powieść, która powinna przynieść sławę i pieniądze, i należy zdobyć miłość Ireny. To było to życie. Tamto zostało na grobie córeczki biednej Józefy. Dziewczynka umarła. Powiedziałem wtedy do Anki z ulicy, która była także na pogrzebie:

— Może tak i lepiej.

— A pewnie. Cieszyło się to, chudziaczek taki biedny, wiosną i słoneczkiem, bo to i takiej wiele było potrzeba? Wiedziała to co? Albo i widziała? I cóż? Umarła, w szpitalu! W szpitalu! — powtórzyła z nagłą pasją — Na umieranie ją wzięli.

Może nie?

Milczałem.

W przesłonecznionem powietrzu grały ciche szmery, i dolatywał z dali głuchy pogwar miasta. Puste były wokoło szare jeszcze pola.

— Może nie? — podjęła po chwili — Jest to sprawiedliwość dla biednego człowieka? Czego sobie pięścią, albo i tą chytrością nie wydrzesz, tego i nie masz, człowieku! Ludzie dzieci mają przecie nie z nienawiści do siebie, ale że już tak musi być, a to i z miłości przecie! A dla tych dzieci co? Dla tych biednych dzieci co?

Milczałem.

Cóż mogłem odpowiedzieć tej dziewczynie z ulicy ja, człowiek inteligentny?

* * *

Ale i o tem wkrótce zapomniałem. Zaczęło mnie pochłaniać moje „nowe życie“, zaczęła mnie pochłaniać miłość i powieść. A skoro powieść nareszcie ukończoną została, skoro zobaczyłem jej pierwszy odcinek w „Ziemi“, uwierzyłem, że jestem już na bitej drodze, i że powinno mi teraz być dobrze. To dobrze miało wtedy zupełnie specjalne znaczenie. Symbolizowało pieniądze i użycie. Tak, niestety. Wprawdzie nie byłem jeszcze zepsuty. Użycie miało być skromne. Jakie-takie mieszkanie, ubranie, pierwszorzędne restauracje i kawiarnie, teatr, książka, i kobieta! Oczywiście! I sława!

A tak, bo pani Irena chciała, abym był sławnym. Pani Irena! Stała się bezsprzecznie celem najważniejszym (jeśli nie jedynym) tego mojego „nowego“ życia, i, zdaje się, że miała ochotę być tym celem. Spotykaliśmy się często, kusiliśmy się (!) otwarcie, a mimo to... romans się nie zaczynał.

Nareszcie...

* * *

Pierwsze spotkanie odbyło się romantycznie. Muszę przyznać, że pani Irena jest znakomitym reżyserem, i że kilkoaktowa sztuka, nazwana miłością, w której ja niewątpliwie główną mam odegrać rolę, będzie, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, bardzo zajmującą.

— A co to znaczy żyć?

— Musiałabym to panu bardzo długo tłomaczyć. Bo że pan nie umie żyć, to pewne. Z życiem się walczy, panie.

— Więc...

— Żadne więc. O tem potem. A co pan umie?

— O, dużo.

— Hm... pisać powieści. Czytam, czytam ten pański romans. Piękny. A umie pan kochać?

— Czy umiem? Jakto?

— Jest pan zdumiony, chodząca prostoto. Nie wie pan nawet o tem, że trzeba umieć kochać?

— Może.



Pewnego dnia (w lipcu) telefon.

— Czy jest pan bardzo zajęty?

— Niestety, godziny biurowe.

— Literat niepowinien pracować w biurze.

— A co powinien robić?

— Żyć i pisać.

— Że miłość jest wielką i trudną sztuką?

— Czy pani jest mistrzem?

— Może.

— Proszę przyjąć mnie za ucznia, ale jedynego.

— O...! Ale czy pan ma warunki?

— Wszystkie.

— Nie tak gorąco, panie. Zresztą niech pan...— tu nastąpił szereg wyjaśnień i wskazówek — Więc pan będzie? Jedzie pan? Zaraz?

— Tak.

— — — — — — — — — — — —

Są już na granicy miasta resztki dawnej, obronnej reduty. Wały, rowy, krzyże, groby. Stare, prześliczne drzewa, mur popękany, zmurszały, czysta łąka, cisza, słońce. Dzień pracy. Pusto. Cicho, gorąco. Południe lipcowe. Rozłożyłem na murawie, u stóp wału, w miejscu osłoniętem mój płaszcz gumowy, siadamy oboje. Pani Irena zdjęła rekawiczki, odrzuciła kapelusz. Teczkę moją, wypchaną biurowemi papierzyskami, podsunęła sobie pod głowę, ułożyła się na wznak, przymknęła oczy.

Powiedziała:

— A teraz niech mi pan coś opowie o sobie. Szczerze. Przecież pan nie jest przeciętnym człowiekiem.

— Dlaczego-to, proszę pani?

— Dlaczego?... No, tak. Losy pana są niecodzienne. Przyszedł pan jakby z innego świata. Nie jest pan podobny wogóle do nikogo z tych, których znam oddawna. Oni tworzą swoje koło? A pańskie koło?

— Nie istnieje. Jestem sam.

— O, co za pycha!

— Pycha? Czy...

— Niech pan nie kończy. Zdaje się, że ma pan słuszność. Niech pan opowiada.

Opowiadałem. Długo, bardzo długo. Sprawiało mi to dziwną, rozkoszną ulgę. Sądziłem zresztą, że tem opowiadaniem także ją zdobywam. I w pewnej chwili uczułem nagle palący uścisk jej dłoni gorącej i miękkiej. Drgnąłem. Była przecież przepyszna w tej pozie niedbało-swobodnej — z rozchylonemi ustami — z falującą piersią — z silnym zarysem nóg. Fala rozkoszy zdawała się płynąć przez nią gdyby tajemny prąd tego właśnie życia, którego nie znałem. Zaczął mi myśli mieszać głód moich oczu, przepalało ręce moje gwałtowne drżenie pożądań. Rozchyliła w tym momencie oczy i oplątało mnie zaraz siecią nieśmiałości spojrzenie jej pełne ciekawości. Umilkłem.

— A wtedy — rzekła prawie sennie — przed dworcem głównym? Cóż pan o mnie pomyślał?

— Wtedy — to właśnie — rzuciłem niespodzianie dla samego siebie—jakby jaskrawa błyskawica przecięła szarość mego bytu... Szedłem za panią, szedłem z trudem, bo nic sił nie miałem, i głód oczu sycilem grą kształtów pani.

— Ach, głód oczu?

— A potem... w alejach. Właściwie byłem już wtedy pani niewolnikiem.

— A teraz?

— A teraz niech pani będzie ostrożną. Nie zawsze jestem łagodnym człowiekiem.

— Cóż mi pan może zrobić?

— Mogę oszaleć.

— I to pan nazywa miłością?

— Nie nazywam tego zupełnie. Wiem tylko, że jedynie pani w całem tem potwornem mieście ma takie oczy i usta, taki zarys piersi, i taki cud ciała. Setki kobiet mijam obojętnie, a pani jest na mej drodze. Szalałem już przez panią, do mąk moich pani dodała jeszcze jedno cierpienie. To nie jest miłość, to jest cierpienie. Widzi pani, znalazłem nazwę.

— Śliczne ma pan w tej chwili oczy. Płoną.

— A pani oczy są tylko ciekawe.

— Może. Jeszcze pan nie umie w moich oczach czytać.

— Jest pani skrytą.

— Nie. Patrzę na pana i myślę, że pan jest stworzony na ucznia miłości. Tylko trzeba będzie pana prawdopodobnie... hamować.

— Czy miłość potrzebuje hamulca?

— Każda sztuka musi mieć pewne hamulce, inaczej wypala się szybko i staje się udziałem... mądrzejszych.

— Nie wiedziałem, że miłość jest także... mądrością.

— I wielką, panie literacie. Opanowana, ujarzmiona może życie uczynić rajem, uniesieniem, nieustającą rozkoszą. Może być wieczną wiosną, morzem głębokiem pod zawsze bezchmurnem niebem, odpływem i przypływem nieustającym, harfą, na której gra się wiecznozmienne, a cudowne hymny.

— Jest pani mistrzynią?

— Jestem obecnie samotną równie jak pan— wstała. Postąpiła kilka kroków. Nagle, śmiejąc się cicho i nie odwracając głowy, rzuciła:

— Więc jakto było pod dworcem głównym? Czy tak jak teraz?

— Nie. Była pani inaczej ubrana.

— A dziś?

— Dziś ma pani lżejsze suknie.

— Lato.

— Słońce pali.

Zaśmiała się znowu. Czy doprawdy jestem tak piękna?

— Nie wiem, czy jest pani najpiękniejsza...

— Ale dla pana?

— Już mówiłem.

— Powiedz jeszcze.

— Zostań tak. Nie chodź dalej. Prześwieca cię słońce i złoci. Widzę twoje nogi, i drżę na myśl, że mógłbym je rzeźbić i palić ustami. Mam na ustach płomień. Szedłby ten płomień od twoich stóp, owinąłby cię żarem, przepoił krew...

— Nie unoś się, poeto. Lub mów! Twój głos naprawdą dyszy żarem.

— Nie mogę już patrzeć na ciebie. Zaciemnia mi oczy głód. Nie widzę nic.

Odwróciła się. Usta jej drżały. Błyskały z za warg zęby. Postąpiła krok:

Zamknij oczy. Już?

— Już.

Podeszła. Ręce jej spoczęły ciężko na moich ramionach, miękkie wilgotne wargi na ustach.

— — — — — — — — — — — —

Od tego dnia jakgdyby zawładnęła mojem życiem. Nauczyła mnie wielu, bardzo wielu rzeczy, obdarzyła nawet barwną złudą szczęścia i złudą dziwnej potęgi. Była zawsze kusząca jak noc wiosenna, niewyczerpaną jak Magdalena, piękną jak czar i kapryśną jak sława. Była w każdej kropli mej krwi, i panowała nad mą duszą. A dziwne to było panowanie! W przeciągu bardzo krótkiego czasu potrafiła odpędzić precz dawne moje natchnienia i przeciąć mój

pochód po twardej twórczej drodze. Zwalczyła moje sumienne rozważania, zasnuła mgłą moją przeszłość, rozproszyła ostre myśli i nakazała nie patrzeć i nie dostrzegać całości życia.

Mówiła np.: Cóż mnie obchodzą dalekie przedmieścia, walące się domy, obdarte dzieci i dzicy, głupi ludzie?! Nawet gdybym sama przeszła przez to piekło, nawet gdybym sama zaznała nędzy i głodu, cóżby mnie to obchodziło dzisiaj?! Walczyłam, i jestem dziś tu! Tu, wyżej! Rozumiesz? Życie jest walką, walką bezwzględną i okrutną, i biada tym, którzy są słabi! Tylko tym biada, rozumiesz?... A życie może być piękne, może być bardzo piękne! Trzeba umieć żyć!

Uczyła mnie żyć! Ha! ha! Doprawdy! Dziś wydaje mi się to wszystko bezgranicznie śmiesznem i małem, lecz wtedy...

Miłość przecież jest potężniejszą od każdej innej siły i ponoć mądrzejszą od filozofji, a ja wtedy naprawdę kochałem. Piękno wtedy to był cud jej ciała, szczęście to jej uśmiech, czar najwyższy to jej pochwała, a szaleństwo upojenia to jej upalna, żarem pustyń dysząca pieszczota.

Tak — doprawdy — cóż mnie ochodziło inne życie? Zycia nie było poza nią, życie było tylko w niej, i tylko z nią.

I przez nią stałem się sławny. Moje płomienne erotyki, i wybuchowe, fantastyczne romanse rozchodziły się w wielu tysiącach, i zdobyły mi centralną dzielnicę miasta. Wydawcy zgłaszali się do mnie ustawicznie, prześcigali się w uprzejmościach i honorarjach, koledzy po piórze szukali mojej protekcji.

Miałem pieniądze, miałem bodaj wszystko.

— — — — — — — — — — — —

Lato spędzała moja pani w swej podmiejskiej wilji, i tam właśnie, w prześlicznym ogródku, pełnym róż, otrzymałem ten przedziwny rozkaz:

— Musisz napisać dramat, piękny, niezwykły dramat, którym zdobędziesz szczyt sławy i potęgi. Żeby ci wszyscy wobec ciebie byli tylko marnemi cieniami. I musisz napisać płomienny poemat, w którym życie nasze, krew twoja i moja, myśl twoja i moja w jeden szał pogański zamienione, hucznie wielbić będą wiosnę i radość bytu, rozkosz i miłosną namiętność, zdrowie ciał i beztroskę myśli, wesele życia, śpiew, kobietę, wino! Musisz stworzyć rzecz wielką, musisz stanąć na szczycie, musisz zdobyć laur nieśmiertelnej sławy, aby świat stanął przed nami otworem! Napiszesz?

— Napiszę.

— Najpierw wystawimy dramat, potem wydamy poemat. To wszystko stać się musi szybko. Lecz, abyś mógł tworzyć z prawdziwą siłą, z nieprzepartą siłą, rozstaniemy się na kilka miesięcy, i to zaraz. Tęsknota, żrąca, niesamowita tęsknota będzie ci dyktowała słowa. Wspaniała, żaru pełna nadzieja będzie żywiła twą krew. Bo potem, słuchaj, potem będziesz mnie miał jak niewolnicę, jak pokorną, a oszalałą w miłości niewolnicę, będziesz mój. Szałem cię ogarnę i upiję, zachwytem oszołomię, oszalejemy w rozkoszy! A teraz idź!

I tak się stało. Prośby moje nic zmienić nie mogły. Ona była panią.

— — — — — — — — — — — —

Wyjechałem na wieś. Blisko. Tam—nikomu nieznany— w samotności zupełnej i ciszy żyłem, szalałem, pisałem! Czułem ją przecież przy sobie. To jej szept tajemniczy budził mnie wśród nocy, zrywał z łóżka, wciskał pióro w rękę. To jej oddech palący znienacka oblewał moją szyję, palącemi sztyletami wciskał się do mózgu, rozpalał słowa dziwne i stwarzał nowe i nowe obrazy. Bezustanną gorączkę czułem na spalonych wargach, bezustanne drżenie w palcach, i płomień, żrący płomień szeleszczący w mózgu. A straszliwa tęsknota chłostała mnie gdyby gorącemi biczami, a niesamowity głód pieszczoty wypijał moją krew.



Wstępowałem, rzekłbyś, coraz wyżej i wyżej, jakgdyby na szczyt niesłychanego naprężenia wszystkich sił, i podtrzymywała mnie nadzieja, że tam ocze-

kuje mnie przecież dziwnie świetlany świt, zwycięska zorza potęgi, przebudzenie szczęsne i przewidzenie. Lecz żyłem ciągle w dusznej, parnej nocy — sam w pustyni palących żądz — zbłąkany i niestrudzony, w ustawicznym pochodzie, a przecież nie widzący końca.

I wśród nocy tej wykończyłem dramat, posłałem go do miasta, i pisałem dalej poemat. A noc trwała.



Dano mi wkrótce znać. Dramat wspaniały. Premjera za miesiąc. Honorarja niebywałe. Wydawca uszczęśliwiony.

Przyjąłem to dziwnie obojętnie, i pisałem dalej poemat. A noc trwała. Skończyłem wreszcie poemat, i mogłem wracać do miasta. Poemat nazwałem „Wiosną życia", i sądziłem, żem zdobył nim rzeczywiście laur nieśmiertelnej sławy. Był taki, jakim go ona mieć chciała. Płomienny i huczny, dźwięczny i szalony pogańskim szałem spienionej, zdrowej krwi, wielbiący wesele życia, rozkosz i radość bytu, kobietę, wino i śpiew, i przesycony, przepalony, dyszący i panujący potężną tęsknotą, tęsknotą nocy dusznych i parnych, tęsknotą nienazwaną a potężną, tesknotą, jakby szatańską. Bo nawet na szczytach tej tęsknoty trwała ciągle noc.

— — — — — — — — — — — —

Mogłem więc wracać do miasta. A jednak byłem obojętny, cichy jakiś, nawet może smutny. Była to już jesień. Złotożółte liście opadały z drzew, i zasłały drogę szeleszczącym, ruchomym kobiercem. W powietrzu — we mgle — unosiła się lekko porankowa cisza, i jeno niekiedy nadbiegał od lasów i pól rzeźwy, chłodem zimnej nocy przesycony wiatr i szemrał w gałązkach brzóz i wzdychał wśród mogił cmentarza.

Okolice podmiejskie jakoś mnie w ten dzień zupełnie nie interesowały. Zato z dziwną niecierpliwością oczekiwałem na chwile przejazdu aleją miejską. Bo to już miasto; to już część tego potwornego zbiorowiska domów, żyjącego niesłychanie intensywnie, i pełnego mrocznych i dziwnych tajemnic. Miasto wtedy znowu przyciągało mnie jak morze... I oto wspomnienie... Byłem kiedyś — daleko na północy — na brzegu zamarzniętego morza. Był to mroźny, jasny wieczór. Ciemnogranatowe, obsypane gwiazdami i przepasane mleczną drogą niebo było nademną — za mną daleko drzemało wielkie miasto — a przedemną hen—hen—hen—szła w sinosrebrne dale srebrnośnieżna równina bezkresna, zda się, jak tęsknota, i cicha bezwzględnie, jak grób. Takiej ciszy i takiej martwoty opisać niepodobna.

Bo lśniła ta dal srebrnośnieżna tak dziwnie, jakgdyby po niej przejść miały tęsknot duchy, na które z wiarą czeka chwiejna, rozpraszająca się myśl. Ale duchy nie przechodzą — jeno tam, z północnej dali nadpływają podmuchy lekkich wietrzyków, które leciuchny, zwiewny, srebrzysto-różowy pył śniegowy podrywają i zamieniają w fale, to lekko i mile z sobą igrające, to znów sunące omdlałe i wolno z krańca równiny gdzieś tam w drugie krańce. I tak równina zamarzniętego morza lśni wspaniale i faluje cicho jak morze, ale jako morze białe, półmartwe, smętne i tak bezkresnie, strasznie obojętne...

I wtedy — pamiętam — uciszało się we mnie wszystko, obojętniało i głuchło, a pozostawało jedno, jedyne żywe pragnienie, pragnienie wędrówki bez końca tam... w te srebrnośnieżne, ciche, senne dale...

To zamarznięte morze wołało mnie. To zamarznięte morze brało moją duszę w zupełne władanie, wyczarowywało ją ze mnie tak, żem stamtąd wracał jakoby bez duszy. A teraz... woła mnie miasto. Woła mnie równie silnie, jak wtedy to morze, i równie silnie zaślepia me oczy i hypnotyzuje mi duszę.

Dlaczego?

Nie wiem. Doprawdy, nie wiem. Czuję tylko dziwny niepokój, który przecież nie jest radością.

A dziś powinienem się cieszyć! Jeszcze tydzień temu, na myśl o końcu męki i tęsknoty, szał mnie porywał!

A teraz... tylko niepokój...

I miasto mnie woła, i miasto mnie przyciąga! Będę szedł, szedł długo długiemi ulicami, będę przechodził przez parki i ogrody, przez place i skwery, będę szedł potem ciasnemi, staremi uliczkami, zagubię się tam, zatracę, zapomnę.

Ale to nie był dzień takiej wędrówki. Ani ten, ani następne. Nastały bowiem dni niezwykłego triumfu i zwycięstwa. Dni upojenia i sławy! Dramat mój ściągał do teatru tysiączne tłumy, rzucał mi pod nogi wieńce, rozgłos i złoto. I oto wezwała mnie ona.

Zabrałem ze sobą rękopis poematu, z którego ogłosiłem dotąd tylko, budzące zachwyt, fragmenta, kupiłem masę przepysznych róż czerwonych, i poszedłem. A jednak... nie szalałem z radości.

Była, jak zawsze, kusząca jak noc wiosenna, piękna jak czar, i kapryśna jak sława. Darowała mi kilka szalonych godzin, w czasie których traci się poczucie czasu, zapada się na samo dno oszalałej, obłędnej, wyuzdanej rozkoszy, upija się nią aż do

zupełnej nieprzytomności, chłoszcze się nią krew aż do krwawych błysków w oczach, aż do zwierzęcego krzyku, aż do zimnego przerażenia, do bólu i do klątwy. Ten szał opętał mnie i omotał gdyby... gdyby ośmiornica, i wyssał ze mnie wstyd wszelki i siłę wszelką. Wyszedłem stamtąd nie z poczuciem szczęścia i dosytu, lecz niemal przerażony. Była wtedy pierwsza, może druga w nocy. Miasto spało. Z miejsca, w którem stałem, z pagórka, na którym była jej willa, już prawie na skraju miasta, widniało to potworne miasto w ciemnych, rozlewnie majaczących zarysach, światłami łyskające, a mgły białawe do szczytów swych wież tulące. Nie dochodził mnie stamtąd szmer żaden choćby najlżejszy, i cisza panowała wokoło mnie tak doskonała, jakgdyby to wielkie miasto, przecież żywe, przecież oczom mym światłami grające, zamarło zgoła lub istniało tylko w mirażu. Przeszyła mnie ta cisza na wskroś, opanowała i owiała nagłą, niespodziewaną zgrozą. Zacząłem się w nią wsłuchiwać, zacząłem z nią jakby walczyć, jakgdyby ją w ciężkim trudzie od siebie odpychać, wreszcie jakby się przez nią niby przez gąszcz dziki i splątany przedzierać, i oto zacząłem słyszeć.

Noc głucha, noc czarna płynęła ponad miastem — przelewała się ciężko a cicho swemi posępnemi mrokami — bezgłośnie a jednak wyczuwalnie dyszała—i tłumiła sobą wszelki gwar, wszelki pogłos życia.

Lecz oto zacząłem słyszeć.

Dolatywał do mnie poprzez mroki, sunął ciężko i powoli, odzywał się rytmicznie a jednak niespokojnie głos jakiś dziwny, nito śpiew a nito jęk, nito głuche postukiwanie a nito dźwięczenie ciche, półmartwe, sennie potrącanego dzwonu.

Czy to tak dyszy miasto? Czy to może krwawe, posępne i zgrozą przepojone serce tego miasta tak bije? Jakiemiż tajnemi żyłami sączy się krew tego serca, zatrutego jadem zbrodni, lęków i nienawiści? Czy może serce to teraz odpoczywa? Czy może ustał choć na mgnienie ohydny bój o życie, o złoto, o laur, o kobietę?!

Cicho bije teraz zszarpane męką, przepojone jadem, krwawiące od wieków serce tego miasta. Cicho bije, cicho.

Tam wysoko... hen... wysoko płoną pogodnie złote roje gwiazd i miasto śpi może także pogodnie, otulone otęczą mgieł, ukorzone dobrą ciszą nocy? Może posnęły w sercach ludzi wszelkie złe niepokoje, i może przeto krwawe serce miasta bije teraz cicho,— cicho, cicho bije?

Wytężyć wzrok, wytężyć wzrok — a może oczy ujrzą wreszcie dobrego Anioła Złudy, klęczącego tam... wpośród złego miasta?

Lecz nie! O, nie!

Bo nagle przeszył powietrze krzyk ostry, straszny krzyk przerażenia, zgrozy, ohydy i rozpaczy, krzyk, który stwarza zbrodnia. Krzyk ten wpił mi się w serce, jak sztylet rozpalony. Chciałem biec, chciałem wołać, lecz straciłem oddech, zachwiałem się i omal nie runąłem.

A kiedy znów przyszedłem do siebie, nie dochodził mnie znikąd szmer choćby najlżejszy, i cisza panowała znów tak doskonała, jakgdyby to wielkie miasto, przecież żywe, przecież lękiem i grozą dyszące zamarło nagle, lub istniało tylko w mirażu. Ha! Dość tego! — pomyślałem—trzeba iść, trzeba już iść nareszcie! Czeka mnie słoneczna moja pieśń, czeka mnie mój szał wesela, moja radość i pewność życia, mój hymn na chwałę wiosny, miłości i wina. I zapragnąłem nagle, zapragnąłem całą duszą przeczytać raz jeszcze mój poemat, i tworzyć, tworzyć nowe słoneczne, rozśmiane wiosną sonety.

Sięgnąłem do kieszeni, jednej i drugiej i trzeciej. Rękopisu nie było. Wróciłem do willi, rozbudziłem Irenę, przeszukaliśmy całe mieszkanie. Rękopisu nie było! Nie było go nigdzie!

Ogłosiłem we wszystkich pismach! Wyznaczyłem wysoką nagrodę! Rękopisu nie było!

* * *

Dyrekcja teatru, nowi i dawni przyjaciele, wszyscy, którzy teraz nazywali mnie mistrzem — postanowili mnie pocieszyć. Urządzono wspaniałą ucztę z mowami i kwiatami, pijaństwem i wiwatami. Byli wszyscy, a więc i redaktor Stefanowicz, pyszny teraz i dumny („to ja drukowałem jego pierwszą powieść"!), i niezmienny Gębarski („to ja mu urządziłem reklamę"), i państwo Zawiejscy („to u nas został pan przedstawiony pani Irenie") i Turski i Rębicki, i wielu, wielu innych. Królowała, oczywiście, boska pani Irena, która rzeczywiście była teraz zupełnie pokorną i posłuszną niewolnicą moją, choć stawałem się kapryśnym i samowładnym panem.

Był także Dziurdziński, niezrównany malarz Dziurdziński, zawsze pijący koniak i zawsze trzeźwy, nie uznający żadnej reklamy i protekcji, brutalnie szczery i butnie wesoły.

Przywitano mnie oklaskami i kwiatami, a dyrektor teatru, sam wielki Brodzki, wygłosił następującą napuszoną mowę:

— Chcieliśmy powitać pana radośnie, a zarazem uroczyście, i okazać, jak bardzo jesteśmy panu wdzięczni za Jego twórcze słowo, i jak niezłomnie wierzymy w przyszłe triumfy pana. Jeszcze przed dwoma laty byłeś człowiekiem zupełnie nieznanym. Potem rozpocząłeś rzucać w świat krótkie utwory, pieśni ciche i jasne, siłą serca żywe, mocą słowa dzwonne. I oto... tak jak wschodzi słońce... tak jak bije w oczy nagłe światło cudowne a nieoczekiwane... tak, jak tryska zdrój ożywczy, czysty, jasnodźwięczny... tak zalśnił twój twór, błysło słowo twoje, i zwołało słuchające rzesze i zwołało sławę! Stoisz oto przedemną taki skromny i prosty, jak zwykle, lecz łuna bije z twego czoła, płomień jest w twoim wzroku. Jesteś mocny, jesteś władny, jesteś potężny. Orli jest lot twoich skrzydeł, i cudownem jest twe natchnienie. Twa wola twórcza jest iskrą Bożą.

Tu usłyszałem, jak Dziurdziński szepnął do Ireny:

— „Idźmy! Wróżkę szał porywa!", co się tłomaczy na prozę, dyrektor nieco bredzi.

— Cicho pan bądź!—odszepnęła mu Irena, zaś Brodzki niechętnie zmarszczył swe aktorsko-senatorskie oblicze, i kończył już ciszej i bez pewności siebie:

— Wierzymy w twą wolę twórczą. Wierzymy, że dzieła twe przyniosą ojczyźnie znak siły i chwały i dumy. Silny już jesteś tem, czego dokonałeś. Pomnik, który sobie już wystawiłeś, jest pomnikiem nieśmiertelności. Idź nią drogą nowych triumfów! Idź,

jak idzie moc, która zwycięża! Sława mistrzowi Tadeuszowi! Sława!

I znów zaczęto mi ściskać ręce, podawać kwiaty, wiwatować, a kiedy chciałem przemówić, nie pozwolił na to Dziurdziński, który z poważno-komiczną miną, z olbrzymim bukietem w ręku, zaczął tak swym głębokim basem:

— Pardon, mistrzu. Ale według programu, który tu jednogłośnie ustanowionym został, i który jest nieodwołalny, niezmienny, stanowczy, konieczny i ostateczny, głos obecnie posiadam ja. Przeto prosze, aby mnie wysłuchano.

— Pana będę słuchał zawsze z przyjemnością.

— Wierzę, oczywiście, wierzę — tu Dziurdziński podniósł na mnie swe wielkie, czarny oczy i patrzył długo. Mówił:

— Oto mi w rękę dano dla cię kwiaty, które są piękne i wonne i świeże. Rzecz prawie śmieszna. Ja, zgarbiony laty, ja, który w czystość już dawno nie wierzę, daję ci kwiaty! Lecz to nie ja daję, wierz mi, to nie ja! Daje ci je sława, która, podobno, ma ich całe gaje, i dość je chętnie podobno rozdaje. A więc z kwiatami to jest taka sprawa, że ja je trzymam, jak miejski posłaniec, który jest sługą tej sławy. Atoli sławie nieznany jest cenzur kaganiec, a więc ja oto, jako ja, ci powiem, co o tem myślę. Porównań dowoli znasz ty, mistrz słowa. Powiem nieciekawe. Nie wierz ty sławie. Jest sława albowiem jako kobieta zmienną i kłamliwą, wielce wymowną i wielce kuszącą, obiecującą w cudy zmienić jawę, pięknie płaczącą i pięknie zdradliwą, przed głosem Woli jeno jawnie drżącą!

— O, to ciekawe! — zawołał Gębarski.

Dziurdziński chrząknął i nie patrząc już na mnie, mówił powoli dalej:

— Tak, jak kobieta. Więc nie wierz sławie, ale wierz swej woli, wierz głosom serca i służ ducha sprawie! Lecz nie służ sławie! Na pohybel sławie! Ona niech służy tobie i twej pieśni, która jest z duszy i z serca i z woli! Dusza jest wolną! Sława niewolnicą! Czyżbyś chciał służyć niewolnicy sławie? Znam się z twą, bracie, tajemną tęsknicą, jestem ci bratem w twej tajemnej sprawie, kocham twą jasną swobodę pieśniarza, bo ta swoboda z pod mojego znaku! Choć to obecną tu prozę przeraża, napij się ze mną, mój bracie, koniaku!—wyprostował się i nagle całym sobą spojrzał mi w oczy. Zadrżałem. Z trudem okazując spokój i ożywienie, chwyciłem za kieliszek.

— Pij pan! A żywo! To mi się podoba!

— Gotowe! Pijmy! Ale to nie koniec. Ja lubię dużo pić, a potem dużo mówić. Jestem stary, więc trzeba mnie wysłuchać. Jesteś, mój młody mistrzu, sławnym. Być może nawet, że ta sława już cię zaczęła nudzić. Nie wolno ci być samemu, prawda? Wszędzie jest z tobą twoja sława. Jak cień. Teraz oto zgubiłeś swój nowy utwór, i utwór ten, choć go nikt nie zna, jest już bardzo sławnym. Cała stolica o nim mówi:

Znów przebiegł mnie dreszcz niepokoju. Z trudem mu przerwałem:

— Ale my o nim nie mówmy, proszę.

— Dobrze. Nie będziemy mówić o nim.—Dziurdziński dziwacznie się uśmiechnął i znowu patrząc mi prosto w oczy, mówił niedbale niby, a przecie wnikliwie i z pewnością znacząco — Więc cała stolica mówi dziś o tobie. Cała? Mówią o tobie piękne panie w pięknych buduarach, mówią o tobie panowie i panienki w biurach, mówią kawiarnie, piszą gazety. Robotnicy w fabrykach pewnie o tobie nie mówią, nędzarze w szpitalach także, żebracy na ulicy też. Ale o to możesz nie dbać w dzisiejszych demokratycznych czasach.

Gdyby dreszcz nagłego niepokoju przebiegł wśród zebranych. Dyrektor Brodzki zmarszczył swe aktorsko-senatorskie brwi i rzekł stanowczo:

— Panie Dziurdziński, doprawdy nie rozumiem, co to ma...

Ale i Dziurdziński okazał stanowczość: — Panie dyrektorze Brodzki, Dziurdziński ma głos.

— Nie! Dziurdziński nie ma głosu! — krzyknął Zawiejski — głos ma pani Irena, głos ma sława.

Spodobało się to. Skupiono się wkoło nas ze śmiechem i drwinami, wołano:

— Pani Irena!... Sława... Sława...

Dziurdziński uśmiechnął się... niepokojąco. Był ten jego uśmiech doprawdy przedziwny. Łagodna, cicha ironja w nim była, i jakgdyby jakaś niecodzienna wiedza. Wytwornym a niedbałym ruchem nalał sobie kieliszek koniaku i powiedział, zwracając się do mnie:

— Już kończę, mistrzu, bo mnie zagłusza... sława. Na zakończenie życzę ci, abyś pisząc swój nowy utwór, wiedział, naprawdę wiedział, dla kogo go piszesz.

Teraz zaatakował malarza Gębarski:

— Ha! ha! ha! Dziurdziński się już upił!

— I jest trzeźwy, przeraźliwie trzeźwy, panie Gębarski, i widzi wszystko. I ustępuje, jak zwykle, jak zwykle. Moi państwo, Dziurdziński ustępuje. Głos ma sława. Pani Ireno!

Irena podeszła do mnie. W przepięknej, białej sukni, z przepysznym bukietem purpurowych róż w ręku, miała w sobie czar i urok upalnej południowej nocy.

Oczy jej, błyszczące teraz jak dwie drogocenne gwiazdy, obiecywały nieułudnie tajemną otchłań rozkoszy i z brutalną szczerością uśmiechały się lubieżnie jej usta. Obrzuciła mnie temi różami, spaliła czoło me płomieniem wzroku, a potem pochyliła się ku mnie, i wargi jej, gorące jak lato, dotknęły mego czoła.

Nastąpił trzask oklasków, wśród których — być może — nikt, oprócz mnie, nie dosłyszał jawnie szyderczego szeptu Dziurdzińskiego:

— Mistrzu, całuje cię... sława.

* * *

Trwała ta uczta przez dziwnie długie i dziwnie nudne godziny. Nareszcie rozeszli się wszyscy, pijani i roznamiętnieni, i w obszernym gabinecie pozostaliśmy sami. Woń podeptanych kwiatów, które były wszędzie: na stole, na podłodze, na krzesłach i kanapach, ciężko unosiła się w powietrzu i wnikała do mózgu otumaniającym czadem.

Otworzyłem okna. Za oknami był ogród i szumiały drzewa. Z drzew opadały już jesienne liście i szelest tych opadających liści był niby echo, które coś tajemniczo szepcze. Przypomniał mi się jakiś dawny, dawny park, w którym wiatr wygrywał piosenki w gałęziach dumnych, odwiecznych drzew,

i przypomniała mi się dziecięca dola beztroska i jakiś wiosenny, szczęśliwy śpiew. A potem szły lata, jakgdyby lata ironji i szyderstwa, lata marnowania złota duszy, lata zawodów i nędzy, krwawiącej dumy i bezsilnej żądzy. I dziś...

...To pozamną stanęła Irena. Zgasiła światło i stanęła pozamną, piękna w zalewie księżycowego światła, dysząca żarem nieustającej rozkoszy, symbol moich zdobyczy, symbol tego, co przecież przemija. Jej nagie, gorące ręce opasały mą szyję, przechyliła mą głowę na swe pyszne ramię, i ustami wpiła się w me usta.

Po chwili usłyszałem jej drżący szept:

— Usta masz dziś wonne i słodkie, ale chłodne, jak wargi posągu. Lecz ja ci te usta rozgrzeję... rozgrzeję...

Ciało jej było gorące jak płomień i drżało jak płomień. Czułem, że jest moją, zupełnie moją niewolnicą. Niegdyś marzyłem o tem, a teraz...

A szept jej dyszał i rwał się: — Cudny jesteś, mój jesteś. Weź mnie, weź mnie, weź mnie...

Roztrącił nas nagły, energiczny trzask drzwi. Zapalono światło. Za stołem stał czarny kelner i zginał się w ukłonie:

— Przepraszam państwa. Sprawa ważna.

— Co się stało?

— Zapytuje o jaśnie pana jakiś stary człowiek. Mówi, że znalazł rękopis jaśnie pana, o którego zgubie mówi dziś całe miasto.

— Co?!

— Tak jest, jaśnie panie.

— Proszę go tu przyprowadzić.

— Jaśnie panie...

— Co?

— Jaśnie panie, jest to człowiek stary, obłocony i w podartych szatach. Prawie żebrak.

— Proszę go tu przyprowadzić.

Irena zaniepokoiła się: — Mistrzu, nie trzeba. Można się z nim przez trzecią osobę rozmówić.

— Ależ nie! — pomyślałem — Przecież to ważne i dziwne! — i niecierpliwie powtórzyłem:

— Proszę go tu przyprowadzić.

— Słucham — skłonił się kelner i odszedł.

Chwilę trwało milczenie. Irena usiadła na kanapie i, nie patrząc na mnie, rzekła:

— Zaczynasz być... despotą. Czy nie za wcześnie?

— Nie! Nie!—ogarniał mnie dziwny niepokój— Proszę mi wybaczyć. Czuję dziwną ważność tego spotkania. Ach, ten niepokój ten niepokój!

Irena zdziwiła się: — Co takiego!?

— Niepokój! Rozumiesz? Ten sam niepokój. który był w szumie drzew, ten sam, który był w mojej pieśni i w mojem tworzeniu. I tam na wsi... Te noce, te noce... Nie mogę sobie przypomnieć!

— Tadziu!

I w tejże chwili wszedł on. Dziwny starzec. Miał na sobie długie, niemal po kostki, wyszarzane palto, a szeroki, czarny kapelusz trzymał w drżącej dłoni. Nie był wysokim, ani chudym, czynił nawet wrażenie człowieka silnego i tęgiego, i tylko w jego pochylonej postawie było coś starczego, a szanownego. Miał twarz pełną, rozjaśnioną prawie dziecinnym uśmiechem, zuchowaty siwy wąs, i czoło duże, otwarte, i siwą, gęstą czupryne. Ale mimo to wszystko twarz jego nawet w uśmiechu jakgdyby zastygała w martwocie, a oczy jego duże, powleczone mgłą lekką, gdyby z dawnych łez pozostałą, wpatrywały się uparcie w punkt nieistniejący. Podszedłem doń blisko i uchwyciłem oczyma jego dziwne oczy. I — doprawdy — przeszył mnie dreszcz lodowaty od głowy do stóp, i zaszumiało mi w głowie. W oczach tego starca zalśniła mi martwa i głucha dal srebrnośnieżna, dal, która woła, która przyciąga, która opanowuje.

A starzec głosem dźwięcznym i głębokim rzekł:

— Czy to pan jest tym, który napisał wspaniały podobno dramat, i którego od kilku dni nazywają mistrzem Tadeuszem?

— Tak, jestem nim.

— I pan jest tym; który zgubił rękopis swego nowego utworu?

— Tak, jestem tym.

— Ja ten rękopis znalazłem.

Nastała chwila milczenia. Słychać było, jak szumią drzewa. Nagle... gwałtowna radość. Zawołałem:

— Gdzie?!

— Na ulicy.

— Na ulicy...

— W rynsztoku.

— Na ulicy, w rynsztoku. Moja wiosna życia. Dlaczego?

— Nie wiem.

— Czy rękopis bardzo zniszczony?

— Nie.

— Gdzie jest?

— U mnie, w domu.

— W domu? Dlaczego go pan nie przyniósł?

— Warunek.

— Ach, tak? Warunek... Zaraz... Ta nagroda, prawda. Gdzież to ja mam pieniądze?

— Niech się pan nie trudzi. Tu nie o pieniądze chodzi. Ja pieniędzy nie wezmę. Jeśli zaś pan pragnie mieć ten rękopis, musi pan zgodzić się na moje warunki.

— Jakto: musi? Co to znaczy? Przecież rękopis jest mój!

— A jednak za niego—to wyznaczył pan znaczną pieniężną nagrodę. Ja pieniędzy nie chcę, lecz wzamian za to...

— Aha. Rozumiem. Więc jakież są pańskie warunki?

— Pójdzie pan ze mną, do mojego domu po ten rękopis.

— To wszystko?

— Nie.

— Cóż jeszcze?

— Pójdzie pan ze mną zaraz. To wszystko.

— Dobrze. A daleko?

— Daleko. Ale przecież ja stamtąd przyszedłem, choć stary. Pan młody. Droga wiedzie przez najgorsze ulice tego miasta. To może być dla pana... ciekawe.

— Ach, tak?

Zaniepokoiła się Irena. Porwała się ze swego miejsca, podeszła: — Ależ, mistrzu, to szaleństwo. O tej porze! To może jakiś napad! To może oszust!

Nastała cisza. Starzec wzniósł głowę, spojrzał na Irenę, i znowu głowę opuścił. Czekał.

Irena z złemi błyskami w oczach mówiła: — Ja pana bardzo proszę, niech pan tego nie czyni. Miał pan mnie zresztą odprowadzić.

Stała mi się w tej chwili daleką i obcą. W jej rozgorzałych oczach widziałem zawiedzioną wściekłą żądzę, w skrzywieniu warg bezsilny gniew.

Powiedziałem: — Pojedzie pani automobilem.

Na szkundę znieruchomiała. Zbladła bardzo i syknęła: — Jest pan... grzeczny!

— Grzeczniejszy, niż pani dla tego starca.

Wtedy starzec dziecinnie się uśmiechnął i cicho zapytał: — Idziemy?

— Panie Tadeuszu... Tadziu—szepnęła, lecz już nie mogła mnie zatrzymać. Byłem w owej chwili już zupełnie pod władzą starca, silniejszą, niż jej czary. Skłoniłem się i rzekłem:

— Żegnam panią, idziemy.

(ciąg dalszy nastąpi)

Wiktor Przecławski.

HISTORJA ZAKŁADU LECZNICZO-SZKOLNEGO DLA INWALIDÓW WOJENNYCH W KRAKOWIE,

od 10.VIII 1915 do 31.XII 1923 r.

(ciąg dalszy)

KURSA SKLEPIKARZY.

Między kursami urządzonemi w szkole inwalidów wojennych w Krakowie poczestne miejsce zajmują „Handlowe kursa instrukcyjne" dla inwalidów, znane głównie pod nazwą „Kursów sklepikarzy".



Inż. Eugenjusz Tor, dyrektor Muzeum Przem. w Krakowie, wielki przyjaciel inwalidów, którego uprzejmości zawdzięczamy możność opublikowania „Historji Zakładu" w Krakowie.

Myśl urządzenia tych kursów wyszła od społeczeństwa. Troska, że w naszym kraju handel znajduje się w obcych rękach, że po wsiach i miasteczkach brak ludzi, którzyby się handlem zajmowali, podsunęła myśl stworzenia takiego kursu dla inwalidów, żeby umożliwić im zakładanie w swoich gminach sklepów, już to na własny rachunek, względnie, żeby mogli stać się zarządcami sklepów kółek rolniczych już przed wojną gęsto po kraju rozsianych.

Z gotowym planem utworzenia takiego kursu wystąpił z końcem 1916 r. p. Witold Ostrowski, kierownik opieki społecznej przy Szkole inwalidów. Poparł go w tej sprawie wiceprezes Kółek rolniczych Dr. Bronisław Dulęba. Gdy zaś w maju 1916 r. na zgromadzeniu Wydziału Okręgowego Opieki nad inwalidami, odbytego pod przewodnictwem Ks. Biskupa krakowskiego Adama Ks. Sapiehy, postanowiono otwarcie tych kursów i wybrano Komisję wykonawczą w osobach: gen. Aleksandra Truszkowskiego, i p. Witolda Ostrowskiego, sprawa otwarcia została szybko załatwioną.

Wszystkie władze i osobistości rywalizowały wprost ze sobą, żeby jak najlepiej wyposażyć te kursy. Prezydjum m. Krakowa oddało piękny lokal w szkole ludowej przy ul. Syrokomli. Firmy krakowskie i zagraniczne nadesłały towary i urządzenia sklepowe tak, że śmiało powiedzieć można, że kurs ten był jednym z najlepiej wyposażonych.

Kierownictwo ze strony zarządu Kom. Krajowej objął Dr. Bronisław Dulęba, który sam wykładał organizację handlu, z ramienia zaś wojskowości kierownikiem był por. Józef Warywoda, który sam wykładał rachunki handlowe, książkowość, korespondencję handlową i organizację handlową T-wa Kółek rolniczych.

Dalszymi instruktorami byli: Kazimierz Skocki, Wiktor Urbański, Stanisław Parys, w Komisji egzaminacyjnej zasiadali: gen. Truszkowski Aleksander, Dyr. Józef Kannenberg, z ramienia Głównego Zarządu T-wa Kółek rolniczych Dr. Józef Raczyński i Artur Zaręba Cielecki.

Od czerwca 1916 r. do czerwca 1920 r. odbyło się 6 kursów półrocznych, które dały 191 egzamino-

wanych handlowców. Poniżej podana tabela przedstawia frekwencję na tych kursach:

Kurs	Czas trwania	Uczęszczało na kurs	W czasie trwania kursu ustąpiło	Razem ukończyło
Pierwszy	od 13/6. 1916 do 16/12.	36	4	32
Drugi	od 18/12. 1916 do 27/6. 1917	33	6	27
Trzeci	od 16/7. 1917 do 18/2. 1918	35	9	26
Czwarty	od 25/3. 1918 do 16/11. 1918	43	5	38
Piąty	od 4/12. 1918 do 21/7. 1919	42	6	36
Szósty	od 1/9. 1919 do 10/6. 1920	39	7	32
	Razem	228	37	191

W roku 1917 odbyli uczestnicy kursu praktyczny specjalny kurs importu i eksportu jaj w Rabie Wyżnej majątku Dr. Jana Zdunia, który trwał od 9/7. do 20/7. 1917.

W kursach tych brali udział inwalidzi z następujących zawodów przedwojennych i tak: 55% rolników, 21% rzemieślników, 20% zarobników dziennych, 5% praktykantów handlowych, i 1% laborantów aptekarskich.

Z uczestników tego kursu ¾ otrzymało posady w organizacjach Kółek rolniczych, a reszta prowadzi nader korzystne przedsiębiorstwa handlowe na własny rachunek.

Przy tej sposobności nadmienić należy, że z inicjatywy Komendanta Oddziału Przemysłowego kpt. Piotrowskiego wyżej wymieniony Dr. Bronisław Dulęba miał dla inwalidów oddziału przemysłowego szereg wykładów na temat: „Handel na usługach przemysłu“.

KURSA PRZEMYSŁOWE SPECJALNE.

Oprócz wymienionych kursów przemysłowych, które się stale w warsztatach Zakładu odbywały, zarządzono w miarę zgłoszeń specjalne kursa przemysłowe.

Do tych kursów zaliczyć należy kurs dla szoferów, dla których do r. 1916 odbyły się dwa kursy i wzięło w nich udział do tego czasu 33 inwalidów.

Kurs przygotowawczy dla działu budowlanego miał do r. 1916 również dwa kursa, uczniów było 33 inwalidów.

Kurs zawodowy kursu budowlanego uczniów 12 inwal.
„ elektromonterów od r. 1917/20 „ 14 „
„ kinooperatorów „ „ 1918/20 „ 26 „
„ dla dentystów w roku 1919 . . . . . 3 „
„ majsterski „ 1917 . . . . . 7 „
„ oglądaczy zwłok i bydła z niewiadomą liczbą uczniów.

Na pograniczu do kursu umysłowo-kształcących odbył się kurs pisarzy gminnych z niewiadomą liczbą uczniów.

Wielu inwalidów pobierało również naukę i praktykowało w zakładach przemysłowych Twierdzy, liczba ich jednak jest nieznaną.

Według sprawozdań Komisji Opieki nad inwalidami uczęszczało na rozmaite kursa przemysłowe do 31 grudnia 1916 razem 649 inwalidów.

KURSY UMYSŁOWO-KSZTAŁCĄCE.

Inwalidom, którzy wskutek powołania do wojska musieli przerwać studja, umożliwiono uczęszczanie do szkół publicznych, więc umożliwiono im uczęszczanie na Uniwersytet, do gimnazjów, do Akademji Handlowej i przemysłowej, do szkół handlowych, do seminarjów nauczycielskich, Akademji sztuk pieknych i td.

W porozumieniu z Radą Szkolną Krajową otworzono dla inwalidów nauczycieli kurs dla nauczycieli szkół wydziałowych, oprócz tego utworzono specjalny kurs dla inwalidów jako kursa wydziałowe, dające wykształcenie poziomu do 4-tej wydz. i t. d.

Najważniejszem staraniem Komendy Szkoły było zwalczanie analfabetyzmu wśród inwalidów.

Już w szpitalu każdy inwalida musiał uczyć się czytać i pisać, poczem musiał przechodzić naukę aż do 4-tej klasy szkoły ludowej.

Tak samo każdy inwalida pracujący w warsztatach obowiązkowo musiał po godzinach pracy w warsztatach uczęszczać na t. zw. kursa uzupełniające.

Naukę tę prowadzili nauczyciele zawodowi tak, że szkoła wystawiała świadectwa szkolne, mające moc obowiązującą.

Na tem miejscu muszę wspomnieć, że w szkole dla inwalidów kładziono wielki nacisk na wychowanie inwalidy w całem tego słowa znaczeniu, oprócz tego, że pilnowano go przy pracy, że dbano o jego dobro fizyczne — zważano także na jego stronę moralną. Wykłady i nauki, ciągły nadzór prowadziły do tego celu. Ludzi opornych upominano, w danym razie karano, przyczem kierowano się wyrozumiałością i tylko w razach, gdy chodziło o danie przykładu i o ochronę inwalidów od zgorszenia i zepsucia uciekano się do kar takich, jak więzienie i wydalenie z Zakładu.

Przy nauce kładło się nacisk na naukę historji polskiej, na krajoznawstwo, uświadamianie uczniów w pojęciu społecznem i w kierunku obowiązków obywatelskich. Rezultaty też były nadzwyczajne. Komisje egzaminacyjne przy egzaminach czeladniczych wyrażały się z podziwem o odpowiedziach inwalidów, szczególnie w zakresie historji polskiej i jest to jedna z chlubnych kart Zakładu leczniczo-szkolnego.

W Zakładzie obchodzono uroczyście wszelkie dni pamiątkowe z historji Polski, przyczem odczyty, śpiew, deklamacje, koncertowe popisy i produkcje orkiestry inwalidzkiej urozmaicały te chwile i napewno utkwiły nazawsze w pamięci wychowanków Zakładu.

Widząc jak podnosi ducha i uszlachetnia umysł myzyka, Zakład prowadził dla inwalidów naukę muzyki pod kierownictwem osobnego kierownika i kapelmistrza. Naukę muzyki pobierali inwalidzi, którzy poświęcali się wyłącznie muzyce, a oprócz tego uczyli

się grać na różnych instrumentach inwalidzi-rzemieślnicy i uczniowie różnych szkół.

Dzięki Komisji Kraj., która zakupiła instrumenta dla całej kapeli — można było urządzić orkiestrę inwalidów, ktora nie tylko grała dla samego Zakładu, lecz i występowała publicznie.

Orkiestrę i kurs myzyczny zwinięto z braku uczniów z wiosną 1923 r. a instrumenta przekazało Min. Spr. Wojsk. dla Zakładu inwalidów we Lwowie.

SPECJALNE KURSA UMYSŁOWO KSZTAŁCĄCE URZĄDZONE W SZKOLE.

Kursa pisania na maszynie urządzono przy Prezydjum Sądu krajowego wyższego do r. 1916. Było 17 uczestników.

Od r. 1917 uczono pisać na maszynie inwalidów uczęszczających równocześnie na inne kursa, jak buchalterji, handlowe i t. p.

Kurs ekonomiczno-handlowy urządzony przez N. K. N., który miał w r. 1916 uczestników . . . . 11 inwal.
Kurs dla telegrafistów urządzony przez Dyrekcję Kolei Państw. w Krakowie uczniów 15 „
Kurs dla pocztowców urządzony przez Dyrekcję Poczt i Telegrafów do r. 1916 uczniów 12 „

Dla malarzy artystów urządzono osobny kurs bod kierunkiem artysty-malarza Stanisława Żarneckiego.

Przez kurs ten przeszło 6 inwalidów, a wynikiem ich pracy i popisem szkoły była wystawa prac urządzona w Salonach Muzeum Przemysłowego w r. 1917.

Następne rubryki i cyfry przedstawiają i to nieściśle frekwencję inwalidów na pojedyncze kursa od r. 1916 do r. 1920, niestety, nie dało sie zebrać tych liczb ze statystyczną ścisłością i nie dało się w poszczególnych wypadkach ustalić ilu inwalidów, którzy rozpoczęli te kursa, ukończyło je, ilu zdało egzamin i uzyskało świadectwa, umożliwiające im rozpoczęcie objętego zawodu.

Na kursach rzemieślniczo-budowlanych było od 1918 do 1920 r. . . . . 19 inwal.
w Państw. Wyższej Szkole Przemysł. było od 1919 do 1921 r. . . . . 10 „
na kursie poczt.-telegraf. było od 1919/20 r. 12 „
Na praktyce przy kolei było w 1920 „ 1 „
„ „ jako woźni „ od 1918/20 „ 2 „
„ „ przy Sądzie jako manipulanci w roku 1919 . . . . 1 „
Na kursach Akademji handl. było w 1918 36 „
1919 42 „
1920 34 „
Na kursach abiturjentów przy Akad. handl. od 1919 do 1920 r. . . . . 13 „
Na specjalnym kursie handlowym, urządzonym umyślnie dla inwalidów było w r. 1918 32 „
Na niższych kursach handl. było w r. 1918/19 32 „
1919/20 30 „
Na kurs. rachunkowości państw. w r. 1918/19 20 „
1919/20 23 „
Na kursach wydziałowych było w r. 1917/18 46 „
1918/19 41 „
1919/20 126 „
Na kursach szkół średnich było w r. 1919/20 31 inwal.
„ „ pedagogicznych „ „ „ 1919/20 43 „
Do seminarjum rząd. uczęszczało od 1919/20 6 „
Na Uniwersytet uczęszczało w r. 1917/18 50 „
1918/20 18 „
Na kursa muzyczne w Konserwat. 1919/20 33 „
„ Akademję sztuk pięknych od r. 1919/20 4 „

Czyli razem kształciło się umysłowo 725 inwal.

ROK SZKOLNY 1920/21.

KURS	rozpoczęło	ustąpiło	przystąpiło do egzam.	zdało egzamin	nie zdali egzaminu
Kurs wydziałowy 4 klas. wydz.	81	16	65	59	6
Kurs pedagogiczny					
wstępny rok	11		11	11	
1 rok	12		12	12	
Matura	8		8	8	
Kurs handlowy	40	14	26	20	6
Kursa gimn.-realne:					
1 do 4 gimn.	5	2	5	3	2
2 „ 6 „	3	1	2	2	
Matura	5		3	2	1
Specjalny kurs dla inwalidów przy Akademji handlowej					
Kurs buchalterji profesora Pilcha.	11		7	7	4
Kurs muzyczny	17			17	
Akademja Handlowa					
1. kurs abiturjentów	5				
2. „ dwuletni	34				
Seminarjum naucz. pań	2				
Uniwersytet	12				
Wyższa Szkoła Przemysł.					
1. Kurs werkmistrzów	6				
2. „ elektromont.	2				
3. „ przem. art.	5				
4. „ mechaników	2				
Kurs muzyczny w Konserwatorjum	2				

Razem odbyło naukę 263 inwalidów

Z wyżej wymienionych kursów muszę wspomnieć szczegółowo o niższym kursie handlowym urządzonym specjalnie dla inwalidów w Akademji handlowej pod kierunkiem dyr. Kannenberga; z 42 inwalidów ukończyło ten kurs 35 z bardzo dobremi postępami.

Bardzo udatnym musi się nazwać także kurs dla sekwestratorów skarbowych, urządzony za stara-

niem Kierownika Gen. Eksp. w likw. pułk. Dr. Adama Bąkowskiego i u. w. X. r. Adama Lukasa.

Kurs ten był prowadzony pod kier. delegowanych urzędników Izby Skarbowej w Krakowie, a kierownikiem był st. radca skarbu p. Michał Pajor.

Kurs ten trwał od 20 kwietnia do 2 czerwca, w którym to dniu odbył się egzamin, który dał Państwu 32 przyszłych urzędników sekwestratorów skarbowych o najlepszych kwalifikacjach.

(dokończenie nastąpi)

O idei polskiej w polskiej szkole

W końcu XIX w. jeden z wielkich ludzi w Polsce, Stanisław Szczepanowski w swojem głębokiem studjum nad Ideą Polski, pisał:

„Cała prawie nasza literatura obecna, całe prawie dziennikarstwo, uniwersytety, szkoły są pod bezwględnem panowaniem sofistów i estetyków „wyzwalających" ducha narodu, — wyzwalających — od obowiązków i przygotowujących naród do jarzma upadlającej niewoli. Czas jest założyć protest przeciwko temu kierunkowi nietylko w imieniu idei polskiej, ale i w imieniu obrażonej godności ludzkiej, na straży której stoi i stać będzie idea polska ze zwycięskiem poczuciem, że prawda zwyciężyć musi.

„To wytworzenie nowego plemienia ludzi, ludzi, łączących starą krew a nowy zakon, to warunek zasadniczy, a zarazem najtrudniejszy wskrzeszenia ojczyzny i odbudowania jej na nowych podstawach". (Idea Polska wobec prądów kosmopolitycznych, str. 109 — 10).

Przytoczone powyżej myśli Szczepanowskiego dadzą się zastosować prawie bez zmiany i do naszego współczesnego szkolnictwa.

Wszak co do ducha w niem panującego to jest on wyraźnem wcieleniem potępionych przez wieki tradycyj ciemnoty szlachecko - jezuicko - anarchistycznej.

Dzieciom, poprostu, poprzewracano w głowie.

Wprowadzono w ich życie to zgubne hasło viritim, które w w. XVI rzucił Zamojski w rozhukane morze żywiołu szlacheckiego.

Zaroiło się od republik, sejmików, sejmów w przybytkach gołowąsów.

Nie zdobyto się nawet na ścisłe, zdecydowane określenie celu i zadań szkoły.

Nie zorjentowano się zupełnie w osobliwościach naszego materjału uczniowskiego.

Zywcem przenoszono do nas poronione przeważnie eksperymenty szkolnictwa państw zachodnich.

„A cóż warte — cytujemy tu znów Szczepanowskiego — wszystkie kopie, jak zabraknie wzorów — cóż znaczą wszystkie echa, jak nie zabrzmi głos własnego przekonania i doświadczenia. Cóż znaczą wszystkie pożyczane światła planet i księżyców, gdy zabraknie gwiazd i słońca".

„Wysadzić to wszystko w powietrze" — miał jakoby wyrazić się o szkolnictwie naszem wódz narodu.

„Nie trzeba, nie trzeba środków gwałtownych dla sanacji naszej szkoły, oświadczył działacz społeczno-naukowy, tylko... tylko mnie zróbcie ministrem.

Oczywiście, żaden minister tu nie pomoże dopóki w tych, którzy mają uczyć „samodzielności" nie obudzi się duch samodzielny, niepodległy, świadomy wielkich zadań narodu i naszej epoki.

Idea polska — pozwolimy sobie twierdzić z całą stanowczością — to słońce dookoła której szkoła obracać się powinna.

Panujące przeważnie u nas systemy t. zw. pajdocentryczne, wobec których nie ta Idea ale, właśnie, samo dziecko jest tem słońcem, przypominają nam czasy średniowiecza, gdzieś hen, za wspaniałą postacią Kopernika, ukrywającego się potwora-samoluba, wołającego: to ziemia!

I oto powód dla którego w naszych oczach wstępujemy jakby w nowy okres prac syzyfowych, w okres walki, rzecz dziwna, w szkole polskiej o ideę polską, o ideę nietymczasowej, względnej, ale wieczystej niepodległości Polski.

A więc z kolei, w myśl powyższego naszego założenia, musimy raz ostatecznie określić możliwie ściśle to, co obecnie jest przedmiotem gorączkowych, rozpaczliwych wprost poszukiwań, bo wszak bez tego naród żyć nie może — Idei, zaś w szczególności Idei polskiej.

Obowiązek uświadomienia sobie tej Idei powinien być naczelnym nakazem sumienia tych wszystkich, którzy do tworzenia lub reformowania naszych programów szkolnych się biorą.

Otóż, według naszego mniemania, Ideą Polski, ogólnoludzką jednocześnie, jest idea rozwiązania tragedji rewolucji i przez to rozwiązanie zdobycie serc bliskiego Wschodu.

Ale problemat tragedji rewolucji jest właściwie, problematem tej tragicznej walki między Kapitałem a Pracą, która od wieków się toczy, jest tragedją Pracy.

Jest to przeniesiona na płaszczyznę duchową zasadnicza linja dziejów naszych.

W tej, czy innej formie, expansja na Wschód.

Do tej tedy Idei powinny być przystosowane i programy szkoły naszej.

Szkoły poświęcone nie tylko Pracy, ale i Duchowi Pracy, tej wielkiej sztuce i umiejętności współdziałania nie tylko wszystkich klas i narodów, ale i wszystkich władz duchowych do bohaterstwa i świętości włącznie.

Tak pojęty Duch Pracy powinien panować bezwzględnie w szkole naszej.

Zrealizowanie Jego postulatów należy do warunków niezbędnych naszego bytu niepodległego, jest koniecznością życia naszego.

A szkoła jest sferą, coprawda, wolności, ale wolności opartej na nakazach konieczności, nie po-

trzeby tej, lub innej. bo, ostatecznie, wszystko jest trochę potrzebne i pożyteczne, ale — konieczności.

Z tych założeń wychodząc już oddawna występowaliśmy z radykalnym nieco programem usunięcia wszystkich obowiązujących obecnie przedmiotów w szkole zaś wprowadzenia na ich miejsce jednej powszechnie obowiązującej najszerzej i najgłębiej pojętej Nauki o Pracy z jej religją, filozofją, historją, etyką, estetyką i t. d.

A to, co dziś jest, ta mieszanina przedmiotów bez związku między sobą i bez związku tem bardziej z Ideą odwieczną narodu, to wszystko może być ostatecznie traktowane, jako rzeczy amatorskie, w kółkach i kółeczkach samokształceniowych zaś nie w szkole, która nie jest bynajmniej przybytkiem dla opóźnionych nieco żartów i dowcipów, ale redutą bytu narodowego i państwowego, zwłaszcza szkoła Państwowa.

Dla sprawdzenia słuszności naszych poglądów zaglądaliśmy do wszystkich prawie studjów współczesnych w tej dziedzinie (Rawida, Radwana, Patkowskiego, Ziemnowicza, Ostrowskiego i t. d.), ale, niestety, nie znajdowaliśmy w nich należytego wyczucia związku nierozerwalnego pomiędzy szkołą polską a Ideą Polski.

Z wielu artykułów w tej sprawie za najbardziej racjonalne i poglądom moim pokrewne poczytuję stanowisko prof. Adamczewskiego w jego referacie, p. t. „Poeci Romantyczni w programie Szkolnym“.

Stwierdziwszy, że nie w przeszłość, ale raczej tylko w przyszłość ma być wpatrzona szkoła polska, Szanowny Prelegent podkreśla z naciskiem, że szkoła polska średnia nie jest pomostem pomiędzy szkołą powszechną, a uniwersytetem, ale ma wychować inteligencję t. j. tę część społeczeństwa, która bez względu na to, z jakich klas się rekrutuje, spełnia w niem rolę inicjatorów, organizatorów, regulatorów wszelkiej pracy w społeczeństwie, rolę ośrodków jej motorycznych, lub organów pośredniczących, rolę duszy narodowej, twórców nowych jej wartości, inspiratorów i budowników, z drugiej zaś strony kierowników, pośredników między pracą duchową i fizyczną, słowem, system nerwowy organizmu zbiorowego. A ten, właśnie, system nerwowy, który w społeczeństwie, stanowi inteligencja, jest dziś widać najbardziej chory“.

Aczkolwiek w słowach tych brak wyraźnej linji ideowej, nie podaje nam autor kierunku zasadniczego tych prac inicjatorów, regulatorów, organizatorów, jednakże jeśli nie formalnie, to jednak faktycznie w artykule powyższym widzimy jakby zapowiedź pojawiania się w szeregach naszego nauczycielstwa coraz jaśniejszego poczucia konieczności ścisłego określenia celów szkoły i konieczności uzgodnienia ich z postulatami świata Pracy a przez to i z Ideą Polski.

Jan Bełcikowski.

LEGJON POLSKI W TURCJI

(na terenie azjatyckim).

ZE WSPOMNIEŃ OFICERA TEGOŻ LEGJONU TEODORA LAUDYNA.

Ze wstępem Jana Grzegorzewskiego.

(ciąg dalszy).

Przestrzeniowo, terytorjalnie w zamierzeniach i akcji swej legjon 1877/8 r.—o ile to dotyczy bałkańskiego teatru wojny—był spadkobiercą rycerzy warneńczykowych, konfederatów barskich, zbrojnej organizacji legjonowej na Wołoszczyźnie w czasach tworzenia się legjonów Dąbrowskiego, wreszcie dywizji Zamojskiego z wojny krymskiej i kozaków ottomańskich Sadyka Czajkowskiego, przekreślając odstępstwo tego ostatniego, o ile zaś dotyczy terenu azjatyckiego, miał on swoich poprzedników chyba bardzo mglistych i wą pliwych w takim np. Beniowskim lub owych wygnańcach syberyjskich, którzy podnosili rokosz dla wyzwolenia słynnego pisarza rosyjskiego — Czernyszewskiego, właściwie więc mówiąc poraz to pierwszy w postaci naszego legjonu rycerstwo polskie pod sztandarem orła białego, z całą śmiałością swych zadań wolnościowych, jakby skąpane i wynurzone z fal czarnomorskich biegło przez pola mało-azjatyckie-anatolskie, przez łańcuchy górskie Armenji na spotkanie odwiecznego wroga swej ojczyzny; poraz to pierwszy wśród owych ludów rozlegało się słowo i pieśń zbrojna polska. Legjon jako całość był dziecięciem 1863 r. i ostatnim zbrojnym protestem uśmiercanej matki. Ci ludzie, walcząc na dalekiej obczyźnie, ginęli z uśmiechem i pieśnią ojczystą na ustach, jakoby przeczuwali, że już są ostatniemi zwiastunami mającej w następnem pokoleniu zmartwychwstać Polski.

Z tytułu egzotyczności terenu, ta waleczność nowej polskiej, zapomnianej garstki, wiernej aż do ostatka sztandarowi ojczyzny, ta ostatniość pogrobowa walczących — nadaje szczególny koloryt, urok legjonowi temu. Chciałoby się krok za krokiem stąpać za niemi, słuchać i westchnień, rozgwaru bojowego i zmagań się ducha rycerskiego. Niestety, z bałkańskiego oddziału nie znalazł się dotąd żaden, któryby nam zostawił własne stamtąd wspomnienia, a z azjatyckiego uzyskaliśmy tego jednego i to po wielu namowach. Ci ludzie, jak wojenni ludzie czynu, nieradzi zwracać się do zwierzeń, zwłaszcza pisanych: pisali nie piórem, a mieczem, nie atramentem a krwią, i to im wystarczało.

Uczestnik anatolskiej wyprawy legjonu i autor niniejszych wspomnień — Teodor Laudyn, urodzony

w kaliskiem, dobrze zasłużony krajowi, staraniem patrjotycznego ojca już w szkole ćwiczony w jeździe konnej i w szermierce bronią sieczną i palną, po ukończeniu szkół, na pierwszą wieść o formowaniu się legjonów nad Bosforem, spieszy tam, gdzie urodą nieobojętny płci niewieściej, towarzyskiemi zaletami i altruizmem zyskuje powszechną sympatję kolegów, a sprawnością i uzdolnieniem wojskowem uznanie szefa, który go najmłodszego z legjonistów mianuje oficerem i adjutantem swoim. Gorący, ruchliwy, żądny bojów nie chce dłużej pozostać w rezerwie stambulskiej mimo narzeczeństwa córki przybranej Arturbeja, lecz przyłącza się do wyprawy anatolskiej i bierze udział w całej kampanji mało azjatyckiej. Po skończonej wojnie skazany na tułaczkę i wygnanie niechce wiązać niepewnego losu swego z wybraną i zwalnia ją ze słowa. Osiada wreszcie w Galicji, gdzie za poparciem przyjaciół i rodziny pracuje długi czas w leśnictwie. W końcu dla pielęgnowania chorej matki przenosi się do Lwowa, tu zostaje komisarzem magistratu, organizatorem konnego parku miejskiego, powoływany często jako ekspert do państwowych stadnin rządowych. Tu też ożeniwszy się i wychowawszy dwóch synów, po skończeniu przez nich szkół, oddaje obu krajowi na usługi do armji ojczystej.

W maju 1920 roku. *Jan Grzegorzewski.*
we Lwowie.

LEGJON NA PERZE I GAŁACIE.

I-szy oddział legjonu naszego oddawna już był na froncie i pod majorem Jagminem zdobywał chrzest ogniowy w Bałkanach, gdy drugi, przeznaczony do ekspedycji azjatyckiej, wciąż jeszcze organizował się nad Bosforem. Dopóki nie rozstrzygnięto kwestji — czy mamy do Muchtara baszy podążać wprost ze Skutari lądem, czy też morzem Czarnem do Trebizondy, a stamtąd dopiero konno, dopóty też nie było mowy o zaopatrzeniu kawalerji naszej w konie. Szło więc na razie tylko o wyekwipowanie ludzi, o zapoznanie ich z bronią, o zespół szwadronowy, o komendę i służbę pieszą, wreszcie o rozdanie stopni wojskowych.

Oprócz wachmistrza Łaszewskiego (wycofanego następnie z ekspedycji azjatyckiej) i paru żołnierzy z brygady b. kozaków i dragonów Sadyka baszy Czajkowskiego, ogół tych legjonistów pieszych i konnych (jak zresztą i pieszego oddziału Jagminowego) składał się z przybyłych z kraju ludzi wszystkich trzech zaborów dzielnicowych i emigracji miejscowej lub zagranicznej. Było tam kilka osób eks-wojskowych z armji zaborców, tudzież uczestników powstania 1863 r.; z tych ostatnich przeważnie składała się emigracja, resztę stanowili t. z. cywile, oprócz mnie i paru innych, mało obeznani z bronią i jazdą konną. Ogromną przewagę w składzie osobistym tworzyła inteligencja średnia i zawodowa; na palcach ręki policzyć się dało chłopów lub wyrobników miejskich. Z armji Don Karlosa z Hiszpanji przybyło do legjonu 2-ch braci rodaków — starszy niski podsadkowaty, młodszy słuszny chłop sążnisty, obydwaj w stopniach oficerskich, ale do końca wojny pozostali w rezerwie stambulskiej.

Artur bej Cymerman — jako szef naczelny i organizator całego legjonu, mianował dla oddziału konnego komendantami Dobruckiego i Romera w stopniu majorów (obydwaj wyszli z kozaków Sadykowych), a do pomocy im technicznej odkomenderował w takimże stopniu majora—Wernickiego, inżyniera z politechniki francusko-belgijskiej.

Wszyscy kawalerzyści otrzymali pałasze tureckie i rewolwery, a szeregowcy nadto lekkie karabinki angielskie — t. z. winczesterki. Komendę polską przyjęto podług regulaminu skombinowanego pułków Sadyka i powstańców 1863 r.

Do szycia garniturów zasadzono dwóch polskich żydków-krawców przy pomocy kilku katfów (czeladników) bułgarsko-tureckich. Strój kawalerji, oczywiście, musiał być ułański: kurty granatowe z amarantowemi wyłogami i rabatami i tejże barwy lampasami u spodni granatowych, kaszkiet na podobieństwo czapek ułanów galicyjskich w armji austrjackiej.

Icek, żyd nasz, miał na Gałacie, nad samym Bosforem szynk, w którym majtkowie z okrętów czarnomorskich rakiją i winem greckiem zakrapiali połykane skwapliwie świeże oliwki i smażone skumbrje. Gdy rozeszła się wieść o formacji legjonów i ochotnicy zaczęli się zbierać, pomysłowy Icek sprowadził polskiego parobka i babę z Adamówki zabosforskiej, awansował pierwszego na kelnera, drugą na kucharkę, przynajął jeszcze jedną izbę, wywiesił nad drzwiami od ulicy wiechę z krakuską, namalowaną przez rozbieracza farb u malarza Chlebowskiego, i ogłosił między kolonją, że otworzył G o s p o d ę p o l s k ą, gdzie dostać można kontuszówkę, barszcz, flaki, zrazy z kaszą i kartofle z kapustą i śledziami.

Z tego wszystkiego miało się najpierw flaki (które podejrzewano o pochodzenie baranie) i barszcz zamiast kwasu buraczanego lub chlebowego na pomidorach. Prędzej i taniej u nas w kraju dostać można było szafranu lub wanilji, niż kartofli i kaszy hreczanej nad Bosforem: pierwsze sprowadzano z Malty, o drugiej mowy nawet niebyło wobec taniego i powszechnie używanego ryżu. Na wszelkie reklamacje ze strony gości Icek odpowiadał stereotypowo z turecka:

Otur, otur, już obstalowane, nie widać jak ze Lwowa nadejdzie! Czemu niema nadyjść, nadyjdzie, otur, otadżak.

Podobno, że do otwarcia tej gospody namówił go poeta wielkopolski Ryszard Berwiński, były adjutant sztabowy i sekretarz Czajkowskiego, autor różnych jego odezw, a podobno i piosnki tej żołnierskiej, którą śpiewano nie tylko w jego pułkach, ale i w boju, (a która miała być odpowiednią do mazurka legjonu Dąbrowskiego):

Prowadź nas Sadyk basza na ojczyste błonia.

Namówił więc Berwiński Icka i obiecał mu poparcie wśród Polonji, ale pod warunkiem, że się postara o prawdziwą polską żytniówkę i okowitę. Jakoż wódka zjawiła się najwcześniej. Adresu dla jej sprowadzenia miał według jednych dostarczyć ksiadz Ławrynowicz, były kapelan z dywizji jenerała Zamojskiego (czasu wojny krymskiej, a za naszych czasów leczący damy tureckie w Stambule homeo-

patją. Wedle innych zaś wspólnik Icka, były dostawca kozaków Sadyka, sprowadził okowitę z Dobrudży i sam ją fabrykował. Zdaje się, że prawda była po jednej i po drugiej stronie, bo w szynkowni Icka miewała zapach i smak fuzlowy, właściwy gorzałce ruskiej, zaprawionej kminkiem. Gdy rakja miejscowa kosztowała u niego 10 para, a więc $^1/_4$ piastra (papierowego) a zaś smyrneńska wonna opalowa mastyka (mogąca śmiało spółzawodniczyć z najlepszym francuskim absyntem) pół piastra, to owej wódki kieliszek — 30 para, co na owe czasy było bardzo drogo.

Berwiński, choć bez siwizny, przedwcześnie zestarzały i sterany, po cywilnemu w żakiet ubrany, suwający ledwo nogami, przychodząc do gospody, rzadko kiedy zatrzymał się w przedniej, frontowej izbie, lecz zamykał się samotnie w przylegającej alkowie, dokąd mu Ickowa zanosiła flaszkę, kieliszek i na miseczce kawałek śledzia do przekąski.

Nadeszły wreszcie kartofle i krupy tatarczane. Była okazja wielkiej uczty. Zeszło się kilkunastu legjonistów. Już parę razy obeszła do koła czarka z kminkówką, gdy Ickowa przy pomocy Magdy ustawiła na stole miskę ziemniaków w mundurach, a obok kapustę surową kiszoną i śledzie, pokrajane w talarki, a jedno i drugie przyprawione oliwą i cebulą, z dodatkiem octu winnego do śledzi.

— Cóż to za moda jerozolimska — kartofle w łupkach, kapusta, cebula, śledzie?—wybuchł śmiechem L... przybyły z Paryża.

— Jak to widać, iż Pan Dobrodziej nie znał pana Mickiewicza — odparł urażony Icek: — a dyć to jego był specjał i zawsze kazał mnie podawać, jak był u mnie.

— Zwłaszcza na chrzcinach twojej Matki! — rozległ się głos kpiący Berwińskiego, wchodzącego z alkowy.

— Aj, aj! — Pan rotmistrz zawsze lubi gryźć moje dobre serce — odciął się Icek.

Na widok wchodzącego weterana — wiara powstając z miejsca krzyknęła chórem:

Niech żyje pan rotmistrz i poeta nasz Berwiński!

— Niech raczej umrze, oczajdusze wy takie!

Stanął i potoczył wzrokiem zamglonym po obecnych, pokiwał głową, odwrócił się i odszedł do alkowy.

— To nic, wun tak zawsze zaczyna — tłomaczył Icek zmrożonym zachowaniem się Berwińskiego gościom — to nic, bo go boli ten robak polski, co go kąsa w brzuchu i w sercu, ale to dobry, bardzo dobry pan.

Na stole ustawiono zrazy z kaszą, podano czarki do wina, któryś z Wielkopolan zanucił piosenkę Berwińskiego:

Dziś tułactwa twarde drogi
I los gorzki w poniewierce
Poraniły moje nogi,
Zakrwawiły moje serce.
A tam jeszcze dzisiaj może
Kwitną maki i bławatki
I piękniejsze od nich róże
W wonnym sadzie mojej matki.

Zaczem inny biorąc gąsiorek w rękę, zaczął zwrotkę marsza Sadyka:

A czyja niedola,
Dopełnilijmy czary:
Pijmy za zdrowie Sułtana
I Sadyka baszy!

Tak? A gdzie wasz? — odezwał się Icek.

Wiara poprawiła chórem:

Pijmy za zdrowie Sułtana
I Artura baszy!

— Daj Boże, żeby był basza!

Na to wszedł znów Berwiński, zbliżył się do stołu, wziął do ręki jedną ze stojących z winem czarek, powąchał, sprobował:

— Voyons! To ty, mój Tapserdaku — rzekł, zwracając się do szynkarza: — Będziesz mi taką lurą truć ludzi, co im jutro i bez tego śmierć w oczy zaglądnie — i rzucił złotą lirę na szynkwas: — Cypryjskiego! zawołał.

A gdy tym cudownym nektarem napełniono czarki, on jedną z nich podnosząc w górę, mówił:

— Niech żyje ta, która żyć powinna, gdy my umrzemy! —

— Niech żyje Polska, niech żyje nasz rotmistrz!— zagrzmiano chórem:

Niech żyje, żyje nam!
Viwat, niech żyje nam!

— A on oparty ręką o krawędź stołu, z twarzą zwróconą ku ulicy, tam oczy swe zamglone miał skierowane, jakby zadumany, zapatrzony w jakieś dalekie, przyszłe światy. I stał tak długo, długo, aż przebrzmiały pieśni dokoła niego rozlegające się. W ten czas ujął swój kostur w rękę i pociągnął zwolna ku samotnemu mieszkaniu, odprowadzony przez wszystkich uczestników biesiady.

(dokończenie nastąpi)

KNUT HAMSUN.

NIEWOLNICY MIŁOŚCI

1

To ja napisałam. To napisałam ja, aby ulżyć własnemu sercu. Straciłam pracę w kawiarni i blask moich beztroskich dni. Straciłam wszystko. A kawiarnia — to kawiarnia „Maksym".

Pewien młody człowiek w szarem ubraniu przychodził co wieczór do kawiarni, przychodził z dwoma przyjaciółmi i siadał przy jednym z moich stołów. Do kawiarni przychodziło tak wielu mężczyzn, i każdy miał dla mnie słowo łaskawe, lecz ten — nigdy. A był wysoki i zgrabny, miał miękkie, czarne włosy i niebieskie oczy, któremi od czasu do czasu patrzał na mnie. Na jego górnej wardze czerniały małe wąsiki.

No, dobrze. Otóż z początku ten człowiek widocznie nie lubił mnie.

Przychodził do kawiarni prawie codziennie w ciągu całego tygodnia. Przyzwyczaiłam się do niego, i kiedy nie przychodził, było mi smutno. Pewnego wieczoru znowu nie przyszedł. Szukałam go po całej kawiarni, i wreszcie zobaczyłam go w pobliżu kolumny przy drugiem wejściu. Siedział w towarzystwie damy z cyrku. Dama była w żółtym kostjumie, a na rękach miała długie rękawiczki wyżej łokcia. Była młoda, miała prześliczne ciemne oczy, a moje oczy były niebieskie.

Na jedno mgnienie przystanęłam obok nich i usłyszałam, o czem mówili. Czyniła mu jakieś wyrzuty, wreszcie powiedziała, że jej już dokuczył i że może sobie iść. Pomyślałam: „Przenajświętsza Panienko, dlaczegoż on nie przychodzi do mnie"!

Następnego dnia przyszedł z swojemi przyjaciółmi i usiadł przy moim stole. Miałam wtedy pięć stołów. Nie podeszłam do niego, jak zwykle, lecz poczerwieniałam i udałam, że go nie widzę. Zawołał mnie.

Powiedziałam: — A wczoraj pan nie był...

— Jaka ona zgrabna, prawda? Ta nasza kelnerka... — powiedział do swych towarzyszy.

— Piwa? — zapytałam.

— Tak. — odpowiedział.

I ja nie poszłam, ja pobiegłam po trzy kufle piwa.

2.

Minęły dwa dni.

Razu pewnego dał mi kartę wizytową i polecił:

— Proszę to oddać...

Wzięłam bilet prędzej, nim skończył mówić, i zaniosłam go żółtej damie. W drodze przeczytałam imię: Włodzimierz T***.

Kiedy powróciłam do niego, spojrzał na mnie.

— Oddałam bilet — powiedziałam.

— I odpowiedzi niema?

— Nie.

Dał mi markę, i powiedział z uśmiechem:

— Cóż? Milczenie jest także odpowiedzią.

Siedział cały wieczór patrząc wciąż na żółtą damę i jej towarzyszy. O jedenastej wstał i podszedł do jej stołu. Przywitała go zimno, lecz jej towarzysze zaczęli z nim rozmawiać, zadawali mu złośliwe pytania i śmieli się z niego. Rozmawiał z niemi tylko kilka minut, a kiedy wrócił na swoje miejsce, zwróciłam mu uwagę, że do kieszeni jego palta nalano piwa. Zdjął palto, odwrócił się szybko i obrzucił wzrokiem stół cyrkowej damy. Wytarłam palto, on zaś powiedział z uśmiechem:

— Dziękuję, niewolnico.

Podając mu palto, niepostrzeżenie i lekko pogłaskałam go po plecach. Usiadł i zadumał się głęboko. Jeden z jego przyjaciół zażądał jeszcze piwa, a wtedy wzięłam i jego kufel, aby go napełnić świeżem piwem.

— Nie, nie trzeba — powiedział i położył swoją rękę na moją.

Pod tem dotknięciem moja ręka osłabła i opadła; zauważył to widocznie, gdyż natychmiast podniósł swoją rękę.

Wieczorem dwa razy modliłam się za niego klęcząc u mojej pościeli. I ze szczęścia całowałam swoją prawą rękę, której on się dotykał.

3.

Pewnego razu dał mi kwiaty, mnóstwo kwiatów. Kupił je u kwiaciarki przy wejściu do kawiarni. Kwiaty były świeże i piękne, i długo leżały przed nim na stole. Był sam.

Każdą swobodną minutkę zatrzymywałam się za kolumną, patrzyłam na niego i mówiłam do siebie: On się nazywa Włodzimierz T***.

Tak minęła, być może, cała godzina. Włodzimierz co chwila spoglądał na zegarek. Zapytałam go: — Czy pan na kogo czeka?

Spojrzał na mnie dziwnym, niewidzącym wzrokiem, poczem powiedział: — Nie, nie czekam na nikogo. Na kogóż mam czekać?

— A mnie się zdawało, że pan na kogoś czeka — powtórzyłam.

— Nie — odpowiedział — Proszę wziąć sobie te kwiaty.

I dał mi wszystkie kwiaty.

Podziękowałam mu, lecz głos odmówił mi odsłuszeństwa, i mogłam mówić tylko szeptem Owładnęła mną krwawo-czerwona radość, nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Stałam przy bufecie. Lecz nie wiedziałam, co mam wziąć.

— Co pani potrzeba? — zapytała bufetowa.

— Tak, a co pani myśli? zapytałam.

— Co ja myślę? — powtórzyła bufetowa — Czy pani oszalała?

— Proszę zgadnąć, od kogo otrzymałam te kwiaty — zapytałam.

Przeszedł obok nas zarządzający.

— Pani zapomniała podać piwa panu z drewnianą nogą — zwróciła mi uwagę.

— Otrzymałam te kwiaty od Włodzimierza — powiedziałam do bufetowej i szybko odniosłam piwo.

T*** jeszcze siedział przy stole. Ja jeszcze raz podziękowałam mu, kiedy powstał, aby odejść. Zmieszał się i powiedział: — Właściwie, to ja kupiłem je dla innej.

No, oczywiście, kwiaty były kupione dla innej. Lecz otrzymałam je ja. Ja je otrzymałam zamiast tej, dla której były kupione. I on pozwolił mi, bym za nie dziękowała. Dobranoc, Włodzimierzu.

4.

Następnego dnia padał deszcz.

— Czy włożyć dziś czarny kostjum czy zielony? — rozważałam — Zielony. Jest zupełnie nowy, więc włożę go. — Było mi bardzo wesoło.

Pod przystankiem tramwajowym stała dama bez parasola. Zapronowałam jej mój parasol, lecz podziękowała. Wtedy i ja złożyłam swój parasol. Przynajmniej ta pani nie zmoknie sama — pomyślałam.

Wieczorem Włodzimierz przyszedł do kawiarni.

— Dziękuję za kwiaty, które wczoraj otrzymałam — powiedziałam hardo.

— Jakie kwiaty? — zapytał — Proszę nie mówić już o tych kwiatach.

— Chciałam tylko podziękować za nie — powiedziałam.

Wzruszył ramionami i odpowiedział:

— Ja kocham nie ciebie, niewolnico.

Kochał nie mnie, — no, więc cóż? Wiedziałam to, i to mnie nie zasmuciło. Lecz zato widywałam go co wieczór,—zawsze siadał przy moim stole, i zawsze mu podawałam piwo. Dzień dobry, Włodzimierzu.

Na drugi dzień przyszedł bardzo późno. Zapytał: — Masz dużo pieniędzy, niewolnico?

— Niestety, nie — odpowiedziałam—jestem biedną dziewczyną.

Wtedy popatrzył na mnie z uśmiechem i powiedział: — Pani mnie, zapewne, nie zrozumiała. Potrzeba mi trochę pieniędzy do jutra.

— Ja mam trochę pieniędzy — odpowiedziałam—nawet mam dosyć dużo pieniędzy. Mam w domu sto trzydzieści marek.

— W domu? Nie tutaj?

Odpowiedziałam: — Niech pan poczeka kwandrans. Po zamknięciu kawiarni pójdzie pan ze mną, i wtedy wezmę pieniądze dla pana.

Poczekał kwandrans i wyszedł wraz ze mną. Tylko sto marek — powiedział. I przez cały czas szedł razem ze mną i nie pozwolił, abym szła za nim lub przed nim, jakto często robią ważni panowie.

— Mój pokój bardzo maleńki — powiedziałam, kiedy stanęliśmy u wrót.

— Nie pójdę z panią na górę—odpowiedział— Zaczekam tutaj.

I pozostał na ulicy.

Kiedy wręczyłam mu pieniądze, przeliczył je, i powiedział: Więcej niż sto marek. Proszę, daję pani dziesięć marek na piwo. Tak, tak, tak ja chcę. Daję pani dziesięć marek na piwo.

Podał mi pieniądze, życzył dobrej nocy i odszedł. Widziałam, jak zatrzymał się na rogu, aby dać starej kulawej żebraczce jałmużnę.

4.

Na drugi dzień wieczorem, zabaczywszy mnie, natychmiast powiedział, że bardzo żałuje z powodu niemożności zwrócenia mi pieniędzy. Podziękowałam mu za to, że nie może tego zrobić. Wtedy powiedział szczerze, że przehulał je.

— Cóż robić, niewolnico — powiedział z uśmiechem — Przecież zna pani żółtą damę?

— Dlaczego nazywasz naszą kelnerkę niewolnicą? — zapytał jeden z jego przyjaciół — Ty sam jesteś niewolnikiem w większym stopniu, niż ona.

— Piwa? — przerwałam mu.

Wkrótce potem przyszła żółta dama. T*** wstał i ukłonił się. Ukłonił się tak nisko, że włosy zsunęły mu się na twarz. Ona zaś przeszła obok niego i usiadła przy wolnym stoliku, rezerwując jednocześnie jeszcze dwa krzesła. T*** natychmiast podszedł do niej i usiadł na jednem z tych krzeseł. Minęły dwie minuty. T*** wstał i powiedział głośno:

— Dobrze, ja odchodzę. Nie przyjdę już więcej nigdy.

— Dziękuję panu — odpowiedziała.

Owładnęła mną niesłychana radość, pobiegłam do bufetu i coś powiedziałam. Najprawdopodobniej powiedziałam, że on już nigdy więcej do niej nie pójdzie. Obok mnie przeszedł zarządzający i zrobił mi ostrą uwagę, lecz nie zwróciłam na to najmniejszej uwagi.

Tego wieczoru, o dwunastej w nocy, T*** odprowadził mnie do domu.

— Pięć z tych dziesięciu marek, które pani dałem wczoraj — powiedział.

Chciałam mu oddać całe dziesięć, on je przyjął, lecz zwrócił mi pięć i powiedział, że to na piwo. I nie chciał słuchać moich sprzeciwów.

— Jestem dziś taka wesoła — powiedziałam — Gdyby pan był łaskaw zajść do mnie na górę... Mój pokój wprawdzie taki maleńki...

— Nie, nie pójdę do pani — odpowiedział — Dobranoc.

Odszedł. I przechodził znowu obok starej żebraczki, lecz zapomniał dać jej jałmużny, chociaż mu się ukłoniła. Podbiegłam do niej, dałam jej trochę drobnych i powiedziałam:

— To od tego pana w szarym kostjumie, który przeszedł obok was przed chwilą.

— W szarym kostjumie? — zapytała kobieta.

— Pani jest jego żoną?

Odpowiedziałam: — Nie, ja jego... niewolnica.

6.

Kilka dni z rzędu przepraszał mnie, że nie może mi oddać pieniędzy, prosiłam go, by o tem nie mówił. Mówił jednak tak głośno, że wszyscy go słyszeli, i wielu się śmiało z niego.

— Ja postępuję podle — mówił — wziąłem pieniądze od pani i nie mogę ich zwrócić. Jestem gotów dać sobie odrąbać rękę za pięćdziesiąt marek.

Było mi boleśnie słyszeć te słowa, i ja ciągle myślałam nad tem, skąd dostać pieniędzy, chociaż wiedziałam, że nigdzie ich nie dostanę.

Potem powiedział: — Żółta dama odjechała wraz z cyrkiem. Zapomniałem już o niej. Nie myślę już o niej więcej.

— A jednak list dziś do niej wysłałeś—zauważył jeden z jego przyjaciół.

— Ostatni — odpowiedział Włodzimierz.

Kupiłam wtedy różę i przypięłam ją do jego lewej butonierki. Czułam oddech jego na moich rękach, i z trudem zatknęłam szpileczkę.

— Dziękuję — powiedział znowu.

Wzięłam z kasy jeszcze te kilka marek, które mi się należały, i oddałam mu. To było bardzo mało!

— Dziękuję — powiedział znowu.

Byłam szczęśliwa przez cały wieczór aż do momentu, w którym Włodzimierz nagle powiedział:

— Wyjeżdżam na tydzień. Po powrocie zwrócę pani pieniądze.

Spostrzegłszy zaś moje wzruszenie, dorzucił: — Kocham panią. Ja panią kocham—i wziął mnie za rękę.

Byłam przerażona jego odjazdem, i tem, że nie chciał powiedzieć, dokąd jedzie, chociaż go o to zapytałam. Wszystko, cała sala, lustra i goście zawirowali przed memi oczyma. Nie mogłam się już opanować i schwyciłam obie jego ręce.

Powrócę za tydzień—powiedział nagle powstając.

I usłyszałam głos zarządzającego, który mówił:— Pani straci miejsce.

— No, więc cóż? — pomyślałam — czyż nie wszystko jedno? Za tydzień Włodzimierz będzie ze mną.

Chciałam mu podziękować za to, odwróciłam się — jego już nie było.

7.

W tydzień później, powróciwszy wieczorem do domu, zastałam list od niego. Był to list dziwny, bezładny; pisał w nim, że pojechał za żółtą damą, że nigdy nie zwróci mi moich pieniędzy, i że go nęka bieda. Nazwał siebie podłą duszą, a na samym końcu napisał: — Ja jestem niewolnikiem żółtej damy.

Męczyłam się cały dzień i noc, i nie mogłam się opanować. W ciągu tygodnia straciłam pracę i zaczęłam szukać nowej. W ciągu dnia chodziłam po kawiarniach i hotelach i proponowałam swoje usługi; pracowałam także w domach prywatnych. Ale stałej pracy nie miałam. Późno wieczorem kupowałam za pół ceny wszystkie gazety i gorączkowo czytałam wszystkie ogłoszenia. Myślałam: być może, znajdę pracę, i ocalę Włodzimierza i siebie...

Wczoraj wieczorem w jednej z gazet spostrzegłam jego nazwiako, i przeczytałam wzmiankę o nim. Natychmiast wyszłam z domu i zaczęłam błądzić po ulicach. Wróciłam dopiero rano. Być może, że spałam gdzieś może na ganku, może na progu. Nie wiem. Nie pamiętam.

A dziś przeczytałam raz jeszcze ową wzmiankę w gazecie. Lecz po raz pierwszy przeczytałam ją wczoraj wieczorem po powrocie do domu. Najpierw drgnęły mi ręce, a później upadłam na stołek. Po minucie usiadłam na podłodze i oparłam się o ścianę. Wreszcie wyszłam. Zobaczywszy na rogu starą żebraczkę, dałam jej markę i powiedziałam:

— To od tego pana w szarym garniturze, pamiętacie?

— Pewnie jest pani jego narzeczoną?—zapytała.

Odpowiedziałam: — Nie, jestem jego... wdową...

I błądziłam po ulicach do rana. A... teraz przeczytałam raz jeszcze tę wzmiankę. Nazywał się Włodzimierz T***.

Przełożył *Żet.*

Z ANTOLOGJI.

GABRYEL D'ANNUNZIO.

Przemijasz, o młodości; twa korona,
Która ukwieca czoła, więdnie zwolna.
I węzi się wciąż droga, dziś mozolna,
I zwisa pod ciężarem skroń zmęczona.

Lecz dusza wzbiera treścią, tak jak grona
Swą dostałością; Śmiała i powolna,
I waży się, i ugnie; wiele zdolna
Przebaczyć; nie zajęczy, ugodzona.

Prędko przestałaś złocić me niebiosy,
Zorzo młodości; kładzie się nurt fali,
Kiedy w niej ten huczący wir ucicha.

Inny blask widzę, inne słyszę głosy.
Widzę: u brata rzęs łza się krysztali,
Słyszę to bratnie serce, kiedy wzdycha.

DYMITR MEREŻKOWSKIJ.

Nienawiść ludzka ma swój plon słodyczy.
        Gdy ludzie czynem złym
Ofiarę zwą, gdy tłum ż-ś wróg mu, krzyczy,
        I łzom nie wierzy twym.

Ragość stąd czujesz, iżeś wywołańcem,
        Gdyś jako morska toń
Nieukojony; świata idąc krańcem
        Nie wiesz, co bratnia dłoń.

Piękno jest tylko w czynie bez nazwiska.
        Przesunąć się jak cień
I niech się święci krzyż ten, co dociska
        Po ostateczny dzień.

Tadeusz Newlin-Wagner.



CIEKAWE WYKOPALISKO.

W niedawnym czasie odbyła się w Mławie „Wystawa Mazurska“, na której, pomiędzy innemi, zwracały uwagę urny łużyckie, wykopane w Targoniach. Są one względnie nieźle zachowane, jak to uwidacznia nasza fotografja.

Działalność Kas Chorych w Polsce.

OKRĘGOWY ZWIĄZEK KAS CHORYCH NA WOJEWÓDZTWA POZNAŃSKIE I POMORSKIE W POZNANIU.

Związek Kas Chorych w Poznaniu jest instytucją, stworzoną mocą ustawy z 19 maja 1920 r. o obowiązkowem ubezpieczeniu na wypadek choroby, łączy on w sobie 57 Kas Powiatowych i Miejskich obydwu województw w b. dzielnicy pruskiej z przeszło półmiljonową liczbą członków i blisko miljonem członków rodzin.

Z pośród najważniejszych zadań Związku, wymienić należy: „podejmowanie lub popieranie wszelkiego rodzaju środków, mających na celu podniesienie stanu zdrowotności w kraju“.

W myśl tego Związek czynił i czyni starania około rozbudowy lecznictwa kasowego, mającego służyć najszerszym warstwom ubezpieczonych. Na pierwszy plan najpilniejszych potrzeb w naszych stosunkach hygienicznych wysuwa się sprawa walki skutecznej z największą plagą społeczną t. j. z gruźlicą.

Społeczeństwa zachodnie dawno już zdały sobie sprawę, że walkę z gruźlicą podjąć można z nadzieją na zwycięstwo wówczas tylko, kiedy do dyspozycji w tej walce stać będzie poważna ilość specjalnych zakładów leczniczych lub półleczniczych, sanatorjów różnego typu i t. d.

Walkę z gruźlicą należy potem prowadzić już od pierwszych jej objawów, od pierwszych symptomów, zwiastujących jej zbliżanie się. Znaczenie Kas Chorych w tej walce, może nie wszędzie doceniane, jest mimo wszystko olbrzymie i można mieć nadzieję, że wyniki zabiegów Kas Chorych okażą się w niedalekiej przyszłości i będą bardzo dodatnie.

Związek Kas Chorych w Poznaniu stworzył I-sze sanatorjum kasowe na terenie województw poznańskiego i pomorskiego.

W dniu 15 stycznia 1927 r. nastąpiło jego poświęcenie, w kilka dni później zaś otwarcie.

Sanatorjum dla płucno-chorych w Ludwikowie p. n. „Staszycówka“ obliczone na 100 łóżek dziś już jest zapełnione.

Położenie sanatorjum jest znakomite, właściwe wzniesienie ponad poziom morza, teren piaszczysty, całkowicie zalesiony, wszystko każe się spodziewać b. korzystnych rezultatów leczenia.

Obok wspomnianych warunków naturalnych sanatorjum i korzystnego więc oddziaływania nietylko na organizm, ale również na psyche chorego, sana-



torjum otrzymało wyposażenie kompletne i całkowicie nowoczesne.

Urządzenie zakładu techniczne stoi na poziomie podobnych, leczniczych zakładów europejskich.

Jest tam zatem aparat Roentgena, lest lampa kwarcowa, jest nawet salka operacyjna, apteczka własna i t. d. i t. d.

Dalsze urządzenie wewnętrzne jest zupełnie no-





we i nowoczesne, począwszy od łóżek, leżaków, a skończywszy na spluwaczkach i najdrobniejszych przedmiotach.

Obszerne i dostosowane do wymogów nowoczesnych łazienki dopełniają całości.

Chorzy na miejscu posiadają do dyspozycji ładną świetlicę, obok obszernych sal jadalnych.

Do dyspozycji chorych znajduje się dość bogato wyposażona bibljoteka, fortepian i t. d.

Sanatorjum posiada obecnie dwie leżalnie, jedna z nich świeżo ukończona, w obu leżalniach znajdują wygodne pomieszczenie wszyscy pacjenci.

Teren, przylegający do sanatorjum i stanowiący tegoż własnosć, rozciąga się na przestrzeni około stu morgów gruntu. Jak już zaznaczono teren ten jest zalesiony, pośrodku niego znajduje się jedynie gmach sanatoryjny, leżalnie i budynki administracyjne oraz znajdująca się na wykończeniu pralnia i ubikacje, przeznaczone do desynfekcji przedmiotów używanych przez pacjentów.

Samo sanatorjum oddalone jest od Poznania o dwadzieścia kilka kilometrów, miejscowość posiada własną stację kolejową, od której sanatorjum oddalone jest o kilka minut drogi. Na czele sanatorjum stoi lekarz naczelny, dr. Łaszewski.

Nadzór i ogólne kierownictwo utrzymuje w ręku Komisarz Związku p. dr. St. Rudkowski.

„GASTRONOMJA“
TOW. AKC.
W POZNANIU

Wielką frekwencją i uznaniem cieszyły się na ostatnich Targach Międzynarodowych w Poznaniu pawilony poznańskiego tow. akc. „Gastronomja“, którym przypadł zaszczytny obowiązek reprezentowania zawodu gastronomicznego wobec kraju i zagranicy na wymienionych targach. Powodzenie „Gastronomji“ nie było niespodzianką. Ma ona już zdawna ustaloną opinję zarówno wśród mieszkańców miasta, jak i licznych gości. Jej zakłady są naprawdę pierwszorzędnie urządzone, i jednają sobie coraz liczniejsze rzesze zwolenników wyglądem swym i miłą atmosferą.



Wnętrze jednego z Zakładów „Gastronomji“.



Dyr. GRZĄDZIEL
Naczelny Dyrektor „Gastronomji“.



Zakład I „Gastronomji“.

„Gastronomja“ powstała w roku 1920 jako spółka pomocników gastronomicznych, którzy po wojnie bolszewickiej nie mieli warsztatu pracy, bo zajęły ich miejsce siły żeńskie. Z biegiem czasu spółka została zamieniona w towarzystwo akcyjne i rozszerzyła się tak, że utworzono pięć oddziałów. Obecnym dyrektorem towarzystwa jest p. Grządziel ze Śląska, zaś prezesem Rady Nadzorczej jest dyrektor browarów Huggera p. Przybylski. „Gastronomja“ pracuje z powodzeniem. W czasach ostatnich poczyniono szereg inwestycyj, a równocześnie podjęto przygotowania do utworzenia wzorowej Wystawy Gastronomicznej, która odbędzie się w październiku.

Aka. 8/J.

KRONIKA INWALIDZKA.

Niezrozumiałe historje w Domu Inwalidzkim we Lwowie.

Od grupy inwalidów lwowskich otrzymujemy odpis pisma do Najwyższego Trybunału Administracyjnego, które mówi samo za siebie:

Do
Najwyższego Trybunału Administracyjnego
przy
Prezydjum Rady Ministrów
w WARSZAWIE

Inwalidzi wojenni korzystający dotychczas z schroniska i opieki w przyznanej im fundacji „Dom Inwalidów“ we Lwowie, jako byli żołnierze i obrońcy Rzeczypospolitej Polskiej, zwracają się z usilną prośbą przed Najwyższy Trybunał Administracyjny w sprawie definitywnego rozstrzygnięcia kwestji tutejszego Domu Inwalidów oraz dalszej opieki nad inwalidami. Przez wzgląd, że dotychczasowe starania lokalnych władz tutejszych celem opróżnienia wspomnianego gmachu czynione są względem inwalidów w sposob wielce takowych krzywdzący niżej podpisani, podając jednocześnie materjał rzeczowy w sprawie Domu Inwalidów we Lwowie oraz obraz panujących stosunków najgoręcej proszą o szczegółowe zbadanie tychże faktów i wydanie odpowiedniego rozporządzenia.

Wedle znajdujących się aktów w r. 1855 Magistrat król. stoł. miasta Lwowa darował tabularnie parcelę 12 morgową przy ul. Kleparowskiej 27 pod budowę li tylko Domu Inwalidów zastrzegając sobie po wsze czasy niezmienność tej fundacji. — (Załącz. 1—2). — Po ukończeniu budowy w r. 1862 okazały ten gmach pod nazwą „Dom Inwalidów“ oddano na pomieszczenie tychże. — Dopiero po 15 latach wskutek znikomej podówczas liczby inwalidów w bocznym skrzydle gmachu urządzono Filję Szpitala Garnizonowego.—W czasie wojny światowej rząd austrjacki zamierzał zamienić gmach ten na Szpital Wojskowy, czemu jednak sprzeciwił się generał audytor Albinowski, zapobiegając temu, aby inwalidów, pozbawiono ich schroniska i mienia.

Za czasów polskich w r. 1920 staraniem D-ra Aleksiewicza w domu tym urządzono szpital chirurgiczno-ortopedyczny, fabrykę protez, w skład których to oddziałów wcielono oddział inwalidów ciężkich i ociemniałych, warsztaty pracy, jak koszykarnię, introligatornię i szczotkarnię, schronisko i szkołę inwalidów, przez co też postawiono Dom Inwalidów u szczytu swego zadania.—Obszerny i gęsto zalesiony park daje jednocześnie chorym możność korzystania na miejscu ze spaceru i świeżego powietrza.

Stan taki trwał do roku 1923, w którym to czasie rzuconą została przez szpitalne władze lokalne myśl przeniesienia do Gmachu Domu Inwalidów Szpitala Okręgowego Nr. VI, z bezwzględnem i zupełnem pozbawieniem inwalidów ich mienia i schroniska. Od czasu tego zaczęła się systematycznie prowadzona gospodarka celem zupełnego wysiedlenia inwalidów. — W pierwszym rzędzie usunięto warsztaty koszykarskie i introligatornię, szkołę i schronisko inwalidów do baraków poepidemicznych przy ul. Kleparowskiej 24. — W miejsce zajmowanych przez powyższe oddziały ubikacyj przeniesiono szpital epidemiczny i weneryczny z wyżej wspomnianych baraków. Kiedy zaś w roku 1924 zdążano do końcowej likwidacji gmachu z zamiarem przeniesienia inwalidów samych na granicę rumuńską do koszar w Zaleszczykach, wówczas to projekt powyższy dotknął wszystkich do żywego bólem, goryczą i żalem, gdyż nikt zrozumieć nie mógł, dlaczego pozbawia się ich wiekowej własności, pozbawia jedynego schroniska, z którym się zżyli i w którym tylko zapomnieć mogą o swym kalectwie.—Wybuchło wówczas zrozumiałe rozgoryczenie z protestem przeciw podobnemu postępowaniu władz lokalnych, bez poprzedniego szczegółowego przedstawienia dotyczącej sprawy władzom najwyższym. Społeczenstwo i prasa stanęła wówczas całkiem po stronie inwalidów. Wobec takiego obrotu sprawy zaniechano jawnego przeniesienia inwalidów, a przystąpiono do dalszej akcji w sposób celowy zdążając do urzeczywistnienia powziętych planów, choćby nawet drogą użycia presji. Tu podają podpisani kilka faktów zwracając się z usilną prośbą przed Najwyższy Trypunał Administracyjny o zbadanie szczegółowe tychże i poczynienie odnośnych kroków.

Najsilniejszy nacisk władz lokalnych w celu dopięcia w jakikolwiek sposób wysiedlenia inwalidów dał się odczuć od chwili ustąpienia z zajmowanego stanowiska Dowódcy tutejszego Domu Inwalidów b. pułkownika, a dzisiejszego generała p. Kollmna, w r. 1925, po którym objął bezpośrednie i decydujące stanowisko Dwca Szpitala Okręgowego Nr. VI. pułkownik Węglowski. — W czasie tym zajmowali inwalidzi środkową cześć gmachu, która przez wzgląd na sale małe jasne i czyste nadawała się w pierwszym rzędzie na pomieszczenie szpitala Inwalidów, w którym pozostawali chorzy po lat kilka przykuci do łóżka, kalecy, najbardziej poszkodowani potrzebujący powietrza i stałej opieki. Pierwszym krokiem nowego Dowództwa było przeniesienie inwalidów z opisanej części środkowej do jednego ze skrzydeł gmachu o salach ciemnych, dużych zanieczyszczonych zgniłem powietrzem zbutwiałych podłóg, które to sale zajmowali żołnierze lekko chorzy przebywający w szpitalu jedynie czasowo,—a których umieszczono w miejsce zajmowane przez inwalidów. Projekt ten uskuteczniono groźbą użycia presji. (Załącz. Nr. 3). — Od tego to czasu i po przydzieleniu na stanowisko Dcy Oddziałów szpitalnych znajdujących się w gmachu Domu Inwalidów. mj. Wenzla,

zjawiać się zaczęły stale fakta stwierdzające jawne lekceważenie zdrowia i opieki nad inwalidami. — Kilka faktów podobnych załącza się i tak:

1). Dodatki dla ciężko chorych zostały skreślone zupełnie wbrew rozporządzeniu Władz centralnych.

2). Brak opatrunków nawet dla chorych po operacji był tak rażący, że lekarz ordynator polecał by takowe jak wata i bandaże inwalidzi, chcąc ratować swe zdrowie zakupywali z własnych funduszów, gdyż na każde zapotrzebowanie skierowane do Szpitala Okręgowego Nr. VI otrzymuje zaledwie znikomą część tychże.

3). W łazience o 4-ch wannach kąpano tak chorych zakaźnie jak i inwalidów, dopiero po zarażeniu się jednego z chorych i wielu prośbach zrobiono łazienkę dla zakaźnych odosobnioną.

4). Bieliznę wydawano tak niemożliwie zanieczyszczoną i zniszczoną (podartą), że gdy razu jednego oświadczyli, że z tego zrobią użytek załączając na dowód świeżo wydaną — wówczas momentalnie wszystką bieliznę ściągnięto i wydano czystą.

5). Pomimo skreślenia dodatków odżywienie było złe i chociaż stwierdzono braki oddanych do kuchni prowiantów wikt nie polepszył się wcale.

6). Bez decyzji Władz Centralnych uszczuplić chciano nawet i dyjetę III-ci przez odjęcie trzeciego dania. — (Załączn. Nr. 4).

7). Ściągnięto Szpital chirurgiczno-ortopedyczny, aparaty Zanderowskie, kąpiele elektryczne, elektryzacje i t. d. i przeniesiono do Szpitala Okręgowego Nr. VI pozbawiając tem samem inwalidów możności leczenia.

8). Zlikwidowano fabrykę protez.

9). Pomimo, że wielu chorych potrzebuje nieodzownie masarzy odebrano im i to ostatnie leczenie przez przeniesienie jednej jedynej siostry masażystki do Szpitala Okręgowego Nr. VI pomimo, że wymieniona mogła nie uchylając się od tego tak masować jak i spełniać jednocześnie funkcję siostry oddziałowej na salach chorych.

10). Zniesiono wogóle przydział sanitarjuszy stałych, w miejsce których przydziela się do pielęgnacji chorych jak: mycia i karmienia chorych, mycia naczyń, jak i wszelkich innych czynności na salach, tylko chorych z oddziału wenerycznego pozostających na kuracji szpitalnej. — Niektórzy z nich dostają przydział na sale po kilkudniowym zaledwie pobycie bez leczenia.

11). Zamierzono w ostatnich dniach odesłać a w przeciwnym razie wypisać ze szpitala kilku narazie inwalidów wojskowych ciężko poszkodowanych potrzebujących opieki do przytułków prywatnych.

12). Faktów podobnych jest wiele.

Jednym z głównych powodów wadliwej gospodarki, jak i na tem tle wynikających niesnasek jest mjr. Wenzel Dca Filji Szpitala Okręgowego Nr. VI mieszczącej się w gmachu Domu Inwalidów.

Wobec wszystkich znajdujących się tu lekarzy na stanowiskach niższych, jak i wyższych oficerów nie śmieliby nawet inwalidzi podnieść najmniejszych zarzutów; przeciwnie z uczuciem prawdziwego zadowolenia wdzięczni są sercem całem, że z prawdziwem zrozumieniem wobec ciężko poszkodowanych ofiar wojny odnoszą się w każdej sprawie możliwie przychylnie, łagodnie i sprawiedliwie.

Jedynie Dowódca zamiast wpływać w sposób ściśle służbowy, jednak sprawiedliwy, postępowaniem swojem i tolerowaniem słusznych zażaleń stwarza coraz większe rozgoryczenie, które zmusza inwalidów do udania się przed Władze Najwyższe z prośbą poczynienia odnośnych kroków.

Znikomą ilość pozostających dotychczas w Domu Inwalidów wytłumaczą podane fakta najdokładniej. Dziś znajduje się w stanie tutejszym około 80 inwalidów, gmach jednak pomieścić może około 600-set osób. — Zapełnić gmach ten możnaby jedynie przez zcentralizowanie w tutejszym Domu, inwalidów ze wszystkich podobnych schronisk w Państwie oraz ściągnięcie z powrotem zakładów wyszkolenia inwalidów.

Podając powyższe szczegóły proszą inwalidzi o łaskawe nie pozbawienie ich dotychczasowego schroniska z którego korzystali przez 60 z górą lat, ewentualnie o definitywne załatwienie powyższej prośby jak najpomyślniej dla Państwa w pierwszym rzędzie, jak i najciężej z mas inwalidzkich poszkodowanych ofiar wojny w drugim.

we Lwowie, w maju 1927 r.

Pismo to podpisali: Karol Dobrzęcki, Szymon Stocki, Adolf Schimel, Jan Kucz, Walery Frey, Andrzej Kozak, Wacław Chłodnicki, Justyn Hrynków, Józef Jakubczyk, Stanisław Rodak, Edmund Rosner, S. Wójcik, Dr. Marcin Zimels, Tadeusz Magiera, Jan Chlebuś, Antoni Kuropatnicki, Wojciech Wróbel, Michał Sadowski, Adam Gryglewski, Brzozowska, Maciej Żurawski, Mieczysław Rodawski i wielu, wielu innych, a wszyscy (z bardzo małym wyjątkiem) inwalidzi 80 — 100%!

Również znamienne są załączniki do podania powyższego dołączone:

Załącznik I.

Odpis Tabuli:

Wykaz 2291/2, — 2292/2, Instrument 282, pag 223, 224, 225, — № 118 opiewa w zakwestjonowanej sprawie t. j. przeznaczenia „Domu Inwalidów" dosłownie jak następuje:

(opuszczono jedynie formalistyczne ustępy)

Nach den Detailvermessungen enthält dieser Grund sammt allen darauf befindlichen Bäumen überlässt die Stadt Lemberg unentgeltlich in's volle Eigentum des Hohen Aerars zum Baue des Invalidenhauses, verpflichtet sich ferner diesen Grund in Monate März 1856 dem H. Aerar in den physischen Besitz zu übergeben und gestattet ....

hiebei verwahrt sich die Stadt Lemberg von der Tragung der Besitzveränderungsgebühren und setzt als Bedingung fest, dass das zur Verschönerung

--- dienende Eichenwäldchen nie ausgerottet sondern zu einem Park umgewandelt werden soll. Die Anhöhe darf nicht zu Steinbrüchen benützt werden.

Instrument 279, pag: 55, № 22 dotyczy jakiegoś skrawka przyłączonego do powyższej realności i opiewa w wyciągu:

---------------------------------------dass das Aerar als Eigentümer der 2/4 der halben Realität № 482, — 2/4 auf Grung der am 21 April 1856 geschlossenen Vertrages intabuliert werden kann. (O Gminie nic nie wspomniano).

Oprócz tego dała Gmina miasta Lwowa do użytku cegielnię na Stryjskiem na przeciąg lat 10-ciu celem umożliwienia budowy „Domu Inwalidów".

Załącznik II.

POSIEDZENIE RADY GMINNEJ

z d. 17.I. 1856. (referent sekretarz mag. Kuryłowicz).

Pkt. 1). budowla domu Inwalidów. L. 30. 258/55.

7. Reprezentacja miasta Lwowa złożyła w r. 1851 do stóp Najjaśniejszego Pana najpokorniejszą prośbę o utworzenie domu Inwalidów we Lwowie, ofiarując na ten cel grunt i bezpłatne używanie cegielni miejskiej.

Jego Apostolska Mość przychylając się najłaskawiej do tej prośby, najwyższem postanowieniem z d. 19 maja 1854 zezwolić raczył na zaprowadzenie i budowlę osobnego domu inwalidów z funduszów Państwa na 500 inwalidów w spaniałym rozmiarze.

Na wniosek Magistratu Sekcja II i III wydział jednogłośnie zezwala na bezpłatne odstąpienie na ten cel grunta Pilichowskiego pod № 473, 2/4 położonego w przestrzeni 11 morgów 1251 sążni kw. zastrzegając sobie jednak uwolnienie od wszelkich należytości prawnych z tego powodu przypaść mogących, tudzież na oddanie Wysokiemu erarjum do używania cegielni miejskiej koło stryjskiej rogatki położonej, na czas budowli tego zakładu a najdalej na lat 10.

Wydział uznając oraz akt najwyższej łaski Najjaśniejszego Pana, postanawia złożyć w drodze Wysokiego Rządu najpowinniejsze podziękowanie.

Załącznik III.

Gdy w jesieni 1925 r. na samorzutnie rzuconą myśl przeniesienia inwalidów pozostających w leczeniu szpitalnem, do sal nie nadających się na pomieszczenie ciężko chorych, wstrzymali się inwalidzi z opuszczaniem sal zajmowanych, wówczas jeden z lekarzy wydelegowany z ramienia D-twa Szpitala Okręg. № VI, zebrał inwalidów do tutejszej świetlicy i tam w imieniu płk. Węgłowskiego oświadczył, że o ile inwalidzi dobrowolnie nie ustąpią to wprawdzie gwałtem się ich nie będzie wyrzucać, ale użyje się presji jak: poodbiera się wszelkie dodatki, ograniczy się odwiedzanie chorych, zaprowadzi dyscyplinę jak u żołnierzy i t. d.

Wobec takiego stanu rzeczy inwalidzi nie chcąc sprowadzić na siebie szykan zajmowaną część gmachu opuścili. Zaraz jednak po przeniesieniu dodatki wszystkie pomimo tego skreślono a wyżywienie ogólne się pogorszyło.

Odwiedzanie chorych również zostało ograniczone. Sale zaś przez inwalidów zajmowane stały próżne do wiosny 1926 r. Na wiosnę przeniesiono do sal tych ze Szpitala Okręgowego № VI oddział nerwowy, po to jednak tylko, by już w jesieni r. 1926 przenieść go z powrotem do Szpitala Okręgowego.

Od czasu tego po dziś dzień sale stoją opróżnione.

Załącznik IV.

Po odebraniu dodatków w jesieni 1925 r. uszczuplono w kwietniu 1926 r. dyjetę III-cią, skreślając trzecie danie.—Wówczas inwalidzi samorzutnie postanowili nie przyjmować pożywienia dopóki im się nie odczyta w sprawie dotyczącej rozkazu władz centralnych, żądając okazania tychże.

Charakterystycznym jest tu fakt zachowania się Dowódcy mj. Wenzla, który po upływie godziny t. j. o godz. 9 rano (gdy prośba inwalidów wysunięta została o godz. 8 rano) oświadczył, że winniśmy pożywienie przyjąć, gdyż o godz. 9-tej wieczór (t. j. 12 godzin przedtem) otrzymał rozkaz, że nie tylko dyjeta nie zostanie nam uszczuploną, ale dotatki zostaną z powrotem przyznane.—Rozkazów władz wyższych nie znaleziono i okazało się, że takowych nie było.—Nieprzyjęcie pożywienia trwało 2 dni, a zlikwidowane zostało jedynie przez wpływ tutejszych lekarzy.

Po całem nieporozumieniu dodatki przydzielone zostały tylko na oddział gruźlicy płuc".

Oczekujemy wyjaśnień w tej sprawie, i sądzimy, że będą pomyślne.

Red.

Wyprawa inwalidów polskich naokoło świata.

Trzej inwalidzi wojsk polskich, a mianowicie p. p. Biller Michał, Biller Albert i Gromczyński Stefan, ochotnicy z r. 1920 organizują wyprawę rowerową naokoło świata. Celem tej oryginalnej podróży, którą niewątpliwie zainteresują się nietylko koła sportowe, jest nawiązanie stałego kontaktu z zagranicznemi organizacjami inwalidów i b. wojskowych, a także propadanda Polski, Jej bogactw i kultury drogą odpowiednich odczytów, sprzedaży publikacyj i pocztówek polskich i t. p. Redakcja nasza pomieszczać bedzie, co miesiąc, sprawozdanie z tej podróży pióra

p. Alberta Billera, ilustrowane zdjęciami p. Stefana Gromczyńskiego. Finansowo-technicznym kierownikiem wyprawy jest p. Michał Biller. Jak słychać znana Foto-Ajencja Prasowa K. Pęcherskiego w Warszawie, ma zawrzeć z podróżnikami umowę, na podstawie której otrzymywać będzie od nich zdjęcia fotograficzne z osobliwości całego świata. Wyprawa wyrusza nieodwoalnie w pierwszych dniach czerwca. Pierwszemi etapami wędrówki są: Czecho-Słowacja, Węgry, Rumunja, Bułgarja.

„Polska Inwalidom" na Targach, poznańskich.

Delegaci redakcji naszej, zawdzięczając wielkiej uprzejmości Dyrekcji Międzynarodowych Targów poznańskich, urządzili kiosk „Polska Inwalidom" i mieli możność szerokiego propagowania naszego pisma. Redakcja nasza składa na tem miejscu najserdeczniejsze słowa podzięki Zarządowi Targów, który z tak szlachetnem zrozumieniem i z tak szczerą dobrą wolą przyszedł nam z pomocą i ułatwił nam drogę do serc czytelników. Zawsze z wielką wdzięcznością wspominać będziemy owe dni poznańskie i Szanownemu Zarządowi Targów raz jeszcze przesyłamy staropolskie: Bóg zapłać.

Wielkie także zainteresowanie okazało i niejedną przysługę nam wyświadczyło Towarzystwo popierania przemysłu ludowego w Rzeczypospolitej Polskiej, którego przedstawiciele na targach poznańskich odnieśli się do nas z największą przyjaźnią i ułatwili nadzwyczajnie urządzenie kiosku. I im więc przesyłamy słowa gorącego podziękowania, z radością wyznając, że każda pomoc w trudnej naszej pracy nam okazana, dodaje nam sił i otuchy na przyszłość. W zeszycie lipcowym damy obszerny artykuł o targach poznańskich, ilustrowany obficie pięknemi zdjęciami.

Rewizja koncesyj a inwalidzi wojenni.

W lipcu 1924 r. Sejm uchwalił ustawę nakazującą przeprowadzenie rewizji koncesyj tytoniowych, wódczanych i t. p. i nadania tychże inwalidom wojennym i pozostałym, jak również zasłużonym b. wojskowym, a w grudniu tegoż roku ukazało się rozporządzenie P. Prezydenta Rzeczypospolitej nakazujące wykonanie tej rewizji.

Byliśmy świadkami demonstracji dotychczasowych koncesjonarjuszy i kontrdemonstracji inwalidów wojennych, lecz termin zakreślony ubiegł bezowocnie i dzięki tylko temu, że w ub. r. P. Prezydent Rzeczypospolitej na podstawie otrzymanych pełnomocnictw, przedłużył ważność poprzedniego rozporządzenia, sprawa rewizji koncesyj nie pozostała tylko martwą literą prawa, lecz może być przeprowadzona w terminie do 1 lipca 1928 r.

Z wielu stron słyszeliśmy zapytania i sprzeciwy, czasami bardzo ostre, jak można niszczyć obecnych koncesjonarjuszy i nadawać koncesje inwalidom, co za cel ma podobna akcja i czem ona jest podyktowana.

Otóż rewizja koncesyj podyktowana jest chęcią odciążenia Skarbu Państwa, który z chwilą osiągnięcia przez inwalidę wojennego, czy wogóle pozostałych dochodu dwukrotnie przewyższającego rentę stuprocentowego inwalidy, wstrzymuje wypłatę zaopatrzenia inwalidzkiego, wdowiego, sierocego, czy rodzicielskiego. Tak więc Skarb Państwa nie tracąc nic, gdyż jak i obecny koncesjonarjusz musi wykupić patent i zapłacić podatki, tak to samo musi uczynić inwalida, z tą różnicą jednakowoż, że z chwilą osiągnięcia dochodu, o którym wyżej wspomnieliśmy, traci on prawo do renty. Tak więc Państwo zarabia i to nietylko materjalnie, ale i moralnie, ponieważ dając koncesję inwalidzie stwarza równocześnie z niego dotychczasowego biernego obywatela, czynnego. W ten sposób Państwo zmusza do pracy obywateli do pracy w swoich zawodach niezdolnych, dając równocześnie pełny ekwiwalent za poniesione kalectwo, nie w formie dochodu, ale przez danie mu możności powrotu pomiędzy ludzi pracy, z grona których został on przez wojnę usunięty. Ma to ogromne znaczenie psychiczne, często tak mało oceniane przez naszych społeczników, mających głos decydujący w sferach rządowych.

Z tych powodów jesteśmy zwolennikami rewizji koncesyj, gdyż oprócz tego uważamy, że dostateczne zaopatrzenie inwalidów, jest równoczesnem podniesieniem zdolności bojowej naszej armji, której mimo, że jesteśmy szczeremi zwolennikami pokoju, potrzebujemy, ze względu na sąsiedztwo Berlina i Moskwy.

Opierając się na wydanych przez P. Prezydenta Rzeczypospolitej rozporządzeniach Ministerstwo Skarbu wydało zarządzenia zmierzające do wykonania rewizji konsesyj, lecz to co obecnie widzimy i czego jesteśmy świadkami, budzi nietylko wśród nas, ale również wśród szerokich mas zainteresowanych inwalidów wojennych głębokie niezadowolenie i oznaki, często w dość przykrej formie, zawiedzionych nadziei. Nie dziwimy się zupełnie inwalidom, rozumiemy ich żal, bo przecież na równi z niemi czytaliśmy oficjalne komunikaty Pata z listopada i grudnia ub. r. Jesteśmy zwolennikami zupełnie szczerego stawiania kwestji wobec obywateli, jakiemi również są inwalidzi, po co zapewniać ich przedstawicieli, że rewizja koncesyj będzie przeprowadzona, jeżeli nie ma się zamiaru tego robić. Czy nie lepiej byłoby zupełnie szczerze i otwarcie powiedzieć inwalidom, nie możemy tego zrobić, aniżeli wywoływać żal, rozgoryczenie?

Ostatnio dowiadujemy się z „Inwalidy", naczelnego pisma Związku inwalidów, że przy nadawaniu koncesji na hurtownię tytoniową pominięto 100% inwalidę b. legjonistę Stanisława Chomiaka na korzyść rabina Horowitza. Jeżeli to prawdą jest nie moglibyśmy uznać żadnego argumentu, przemawiającego przeciwko rewizji koncesyj i to w tym kierunku, aby wszyscy nie-inwalidzi wojenni, czy b. wojskowi czy też pozostali po nich bez wyjątku posiadali jakiekolwiek koncesje.

Z życia Związku inwalidów wojennych Rzeczypospolitej Polskiej.

Pierwsze półrocze każdego roku jest dla Związku inwalidów wojennych czasokresem dorocznych walnych zebrań i zjazdów wojewódzkich.

Bieżący rok przyniósł nam również nadzwyczajny Zjazd Delegatów inwalidów wojennych, który odbył się w Krakowie w czasie od 20 do 23 lutego 1927. Na Zjeździe tym dokonano wyborów najwyższych ciał Związku a m.: Wydziału Wykonawczego, Rady Głównej i Komisji Kontrolnej Związku inwalidów wojennych.

W skład Wydziału Wykonawczego weszli pp.: Marjan Kantor, przewodniczący, Ludwik Stachecki, 1. zast. przewodniczącego, Aleksander Dackow, 2. zast. przewodniczącego, Dr. Bolesław Kikiewicz, sekretarz, Dr. Adolf Wratny, zast. sekretarza, Mieczysław Jakubowski, skarbnik Stanisław Sulczyński, zast. skarbnika, Sławomir Rosochacki, redaktor tygodnika „Inwalida", Stanisław Organiściak, ks. Józef Pęcherek, Antoni Gotowała, oraz p. p. Szyperski, Morozowicz, Koluszko i Jarzębowski.

Na czele Rady Głównej stanęli p. p.: poseł Edmund Bigoński, jako przewodniczący, oraz p. Mechliński, jako zastępca przewodniczącego a p. Drzewiński, jako sekretarz.

Do Komisji Kontrolnej weszli p. p. Barszczewski, Paciorkowski, Kubica, Dąbrowski i Hawrylinko.

Nadzwyczajny Zjazd, który zwołany został na skutek ataków prasowych przeciwko poprzedniemu kierownictwu Związku, udzielił temuż absolutorjum olbrzymią większością 488 głosów przeciwko 12. Ponadto Zjazd ten postanowił domagać się wypłaty pełnych, ustawą przewidzianych rent inwalidom wojennym, oraz pozostałych po poległych, zmarłych i zaginionych. Dalej Zjazd postanowił domagać się wypłaty zaległych rent, oraz różnicy, wynikłej z przeprowadzić się mającej waloryzacji, wreszcie domagać się stanowczo przeprowadzenia rewizji koncesyj monopolowych.

Pretensje inwalidów wojennych i pozostałych z tytułu zaległych rent oraz waloryzacji są ogromne, albowiem wynoszą one z górą pół miljarda złotych. Przy tej sposobności zaznaczyć należy, że Rząd w osobie b.ministra skarbu Zdziechowskiego propozycje Związku idące w kierunku wypłaty zaległości ryczałtem zbagatelizował. Sprawa jest dość przykrą, ponieważ w dniu 1 kwietnia b. r. winna już być wypłacona trzecia rata zaległych zwaloryzowanych rent, a do tej pory ani jedna rata wypłacona nie została.

Pozatem odbyły się Zjazdy wojewódzkie w Katowicach, Lwowie, Kielcach, Warszawie, Toruniu i t. d., oraz Zjazd prezesów poszczególnych ogniw Związku w Poznaniu, wreszcie w całym szeregu miast odbyły się Zebrania powiatowe, które również podkreśliły ważność sprawy zatrudniania inwalidów, zwracając uwagę na poważne niedomagania w tej dziedzinie i omijanie postanowień ustawy z dnia 18 marca 1921.

Dotychczasowe Zjazdy i Zebrania wykazały dobitnie, że związek stoi twardo na gruncie państwowości polskiej i jest bardzo poważną jednostką propagandową tej pracy na kresach. Myśl ścisłej współpracy z Rządem i praca państwowo-twórcza są naczelnemi hasłami tej najpotężniejszej organizacji nietylko inwalidzkiej, ale wogóle byłych wojskowych. Życzyćby sobie należało, aby w tych usiłowaniach Związek doznawał należytego poparcia, tembardziej, że raz po razu pojawiają się usiłowania ze strony czynników antypaństwowych rozbicia tej organizacji, względnie założenia w jej łonie swoich jaczejek, czemu do tej pory skutecznie się opierał.

Na skutek starań Związku Rząd przyznał obecnie podwyżkę zaopatrzenia inwalidów wojennych i pozostałych o 10% od 1.IV. b. r. począwszy, oraz zniósł nader krzywdzące postanowienia art.: 11 i 12 ustawy z dnia 22.XII 1925 o zachowaniu równowagi budżetowej.

Kierownictwo Związku wykazuje nietylko w tym kierunku swoją aktywność ale na polu organizacyjnem czego dowodem jest, że w czasie od marca do b. m. powołał do życia 37 nowych ogniw. Fakt ten jest najlepszem świadectwem, że związek jest organizacją czynną i zdobył sobie zaufanie szerokich mas ofiar wojny.

Związek, który posiada swoich przedstawicieli w Radzie opieki społecznej, w Kuratorjum funduszu pożyczkowego dla inwalidów wojennych, ekspertów w Sejmowej Komisji opieki społecznej i t. d. i t. d., bierze również żywy udział w życiu b. wojskowych i inwalidów na terenie zagranicznym. Prezes Związku inwalidów wojennych jest równocześnie wice-prezesem Fidacu: (federacji b, wojskowych państw aljanckich), liczącego z górą 6.000.000 członków, a p. Ludwik Stachecki jest wice-prezesem Ciamacu: (międzynarodowej Konferencji Inwalidów wojennych i b. wojskowych). Z obowiązku podkreślić musimy tu ważność Fidacu, którego znaczenia na terenie międzyaljanckim nie można zapoznawać, interwencja jego bowiem już parokrotnie w obronie Polski dała się odczuć i to bardzo dodatnio.

Nic też dziwnego, że mimo powstawania coraz to nowych organizacyj inwalidzkich siła Związku coraz więcej się wzmaga, czego najlepszym dowodem jest, iż w czasie od marca do b. m. powstało 37 nowych ogniw Związku inwalidów wojennych.

TREŚĆ NUMERU:

Żet — W sprawie budowy domów pracy dla inwalidów; Tadeusz Kończyc: — Jesienią (ilustr. Wł. K.); Wiktor Przecławski: — Miasto (ilustr. Wł Wincze); Historja Zakładu Leczniczo-Szkolnego dla Inwalidów Wojennych w Krakowie; Jan Bełcikowski: — O idei polskiej w polskiej szkole; T. Landyn: — (wstęp J. Grzegorzewskiego) Legjon polski w Turcji (1877/8); Knut Hamsum: — Niewolnicy miłości (przełożył Żet.); Tadeusz Newlin-Wagner: — Z antologji; — Ciekawe wykopalisko; Działalność Kas Chorych w Polsce; Aka: „Gastronomja" Tow. Akc. w Poznaniu; Kronika inwalidzka; Humor: — Rys. Świdwińskiego.

Okładkę projektował Wł. Wincze.
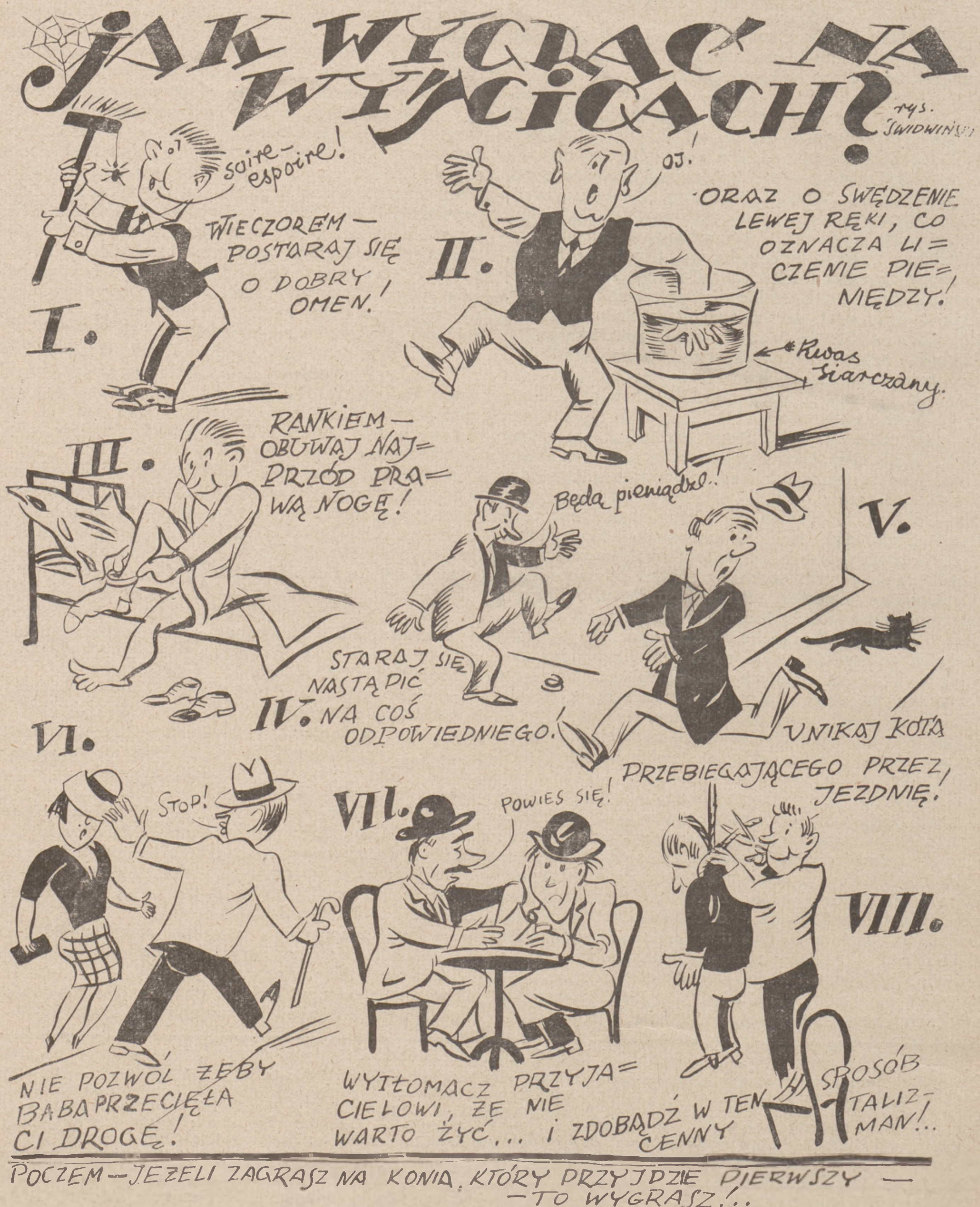
Redaktor: **Wiktor Przecławski.** Wydawca: Wydawnictwo **„Polska Inwalidom".** sp. z o. o

Warszawa, Czackiego 10, m. 1. Tel. 97-58. Konto czek. P. K. O. 13.490.

Prenumerata roczna wraz z dodatkiem książkowym 20 złotych, bez dodatku 16 zł.

Cena niniejszego zeszytu zł. 1 gr. 50

Druk. Zakłady Graficzne Br. Tomczyka, Warszawa, ul. Złota 39. tel. 218-27.



POCZEM — JEŻELI ZAGRASZ NA KONIA, KTÓRY PRZYJDZIE PIERWSZY — — TO WYGRASZ!..